

# Powiat



Nr 11-12 (129-130), Listopad-Grudzień 2011  
Rok XI \* ISSN 1730-7686

**SŁUPSKI**

Służyć pocziwej sprawie

**Najpiękniejsze święta**

**Samotność z odrobiną radości i nadziei**

Pan Zbyszek i jego psy

**Kochamy zielone Tatry**

**Kapelan zdelegalizowanej „Solidarności”**

Nadzieja nigdy nie umiera

Dzielna Queen Mary

**Wieś Tworząca**



"SERENADA" Z NIESTKOWA  
SŁUPSK, PAŹDZIERNIK 2011



## Drodzy Czytelnicy!

Ostatni w tym roku Konwent Samorządowców Powiatu Słupskiego - w Rowach był okazją do podsumowania mijającego roku. Jednak ważniejsze okazały się tematy, którymi od nowego roku będą musiały zajmować się samorządy. Od 1 stycznia zmieni się ustawa o utrzymaniu czystości i

porządku. Nałoży ona na samorządy szereg nowych obowiązków związanych z gospodarowaniem odpadami. Gminy będą miały półtora roku na wprowadzenie zmian. Będą musiały dobrze oszacować ceny, by mieszkańców stać było sprostać nowym wymaganiom.

Ciekawe okazało się zestawienie wykorzystania funduszy europejskich przez poszczególne gminy w powiecie słupskim. Brano w nim pod uwagę wszystkie programy, z jakich korzystały samorządy. Na najdroższy projekt przeznaczono ponad 113 mln zł, najtańszy kosztował ok. 3 tys. zł. Te ostatnie pieniądze przeznaczono na zakup nowoczesnego autopilota do statku rybackiego. Mariusz Chmiel - wójt gminy Słupsk zaproponował, aby wszystkie gminy i miasto Słupsk porozumiały się i ogłosiły wspólny przetarg na utrzymanie punktów świetlnych. Wójt uważa, że dobrym rozwiązaniem będzie zorganizowanie też wspólnego przetargu na wywóz śmieci i ich składowanie. Tak w kraju zamierza zrobić już wiele gmin. W jednym przetargu będzie łatwiej wynegocjować niższe ceny.

Komendant Miejski Policji, Andrzej Szaniawski podziękował samorządowcom za dobrą współpracę oraz za to, co zrobiono dla poprawy bezpieczeństwa. Uznał, że spore zagrożenia wiążą się z EURO 2012 i prosił o kontynuowanie w 2012 roku dobrych praktyk współpracy. Uczestniczący w konwencie poseł Stanisław Lamczyk, członek sejmowych Komisji - Gospodarki i Infrastruktury zaproponował, by powołać zespół, którego zadaniem będzie zdobycie pieniędzy na kompleksowe uporządkowanie spraw kolejowych - przebudowę peronów, rewitalizację połączeń, budowę drugiej nitki kolejowej Słupsk - Trójmiasto. Ta ostatnia pozwoliłaby na znaczne skrócenie czasu przejazdu do Gdańska.

Dyrektor okręgowy Służby Więziennej w Koszalinie, Krzysztof Olkiewicz zachęcał samorządowców do organizowania kursów oraz zatrudniania osób pozbawionych wolności. Chciałby stworzyć Centrum Edukacji dla Skazanych, w którym mogliby uczyć się zawodu i pracować na rzecz gmin i powiatu.

W 2012 roku czeka wszystkie samorządy trudne zadanie znalezienia sposobu na nadchodzący kryzys i powiązanie wydatków z dochodami. Przed nami jednak najpiękniejszy czas w roku - święta Bożego Narodzenia. Życzę zatem wszystkim mieszkańcom powiatu słupskiego wiele ciepła, spokoju i życzliwości. W nadchodzącym Nowym Roku - niech dopisze zdrowie i nikogo nie opuszcza szczęście, a wiara w lepsze niech dodaje sił i energii do życia.

**Sławomir Ziemianowicz**  
**Starosta Słupski**

### „POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Bąbiarz-Zych** (przewodniczący), **Maria Matuszewska** (z-ca przewodniczącego), **Artur Wróblewski**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, fax 59 842 71 11; e-mail: [zych@powiat.slupsk.pl](mailto:zych@powiat.slupsk.pl); Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: OPTIMA s.c., ul. Orąńska 6a, 81-533 Gdynia. Na okładkach: Mikołaj z Sową w Starostwie Powiatowym w Słupsku; „Gęsi krzyk” na imprezie „Gęsina w zagrodzie” w Swolowie.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: [www.powiat.slupsk.pl](http://www.powiat.slupsk.pl)

## W numerze:

- Odznaczenia dla pracowników samorządowych ..... 4
- Dobry kurs na edukację ..... 5
- Mikołajki z Sową ..... 5
- Patriotycznie i radośnie ..... 6
- Lekcje na Placu Czerwonym ..... 6
- Pokonywanie uprzedzeń ..... 7
- Mieszkańcy ich wybrali..... 8
- Na świętego Marcina najlepsza pomorska gęsina ..... 9
- Podzieleni przez wiatr..... 9
- Służyć pocziwej sprawie ..... 10
- Najpiękniejsze święta..... 10
- „Usłysz, Boże, naszą pieśń” ..... 11
- Kiszenie kapusty ..... 12
- Samotność z odrobiną radości i nadziei... 13
- Pan Zbyszek i jego psy..... 14
- Malowane dzieje Antoniego Dmocha.... 15
- Piękne i imponujące, lecz często opuszczone rezydencje..... 16
- Kochamy zielone Tatry..... 18
- Objawienia w Schio ..... 20
- Miłość - mocą (w)rażenia, czyli miłość ci wszystko wypaczy ..... 20
- Zapisy z wędrowek po dawnych rozlewiskach Słupi..... 23
- Dwa kościoły ..... 24
- Kapelan zdelegalizowanej „Solidarności” ..... 26
- Spór o bohaterów ..... 28
- Nadzieja nigdy nie umiera ..... 30
- Sowiecki podstęp - bitwa pod Radziuszami ..... 33
- Ciepłe brzmienie muzyki rockowej..... 37
- Grzech pierworodny „Wilhelma Gustloffa” ..... 38
- Dzielną Queen Mary..... 40



**W**iększość interpelacji złożonych przez radnych na grudniowej (6 bm.) sesji Rady Powiatu Słupskiego dotyczyła remontów i napraw dróg powiatowych oraz wycinki drzew przy drogach. Pytano także o działania mające na celu podniesienie atrakcyjności i jakości kształcenia zawodowego w powiecie słupskim.

Starosta Sławomir Ziemianowicz złożył sprawozdanie z działalności Zarządu Powiatu oraz z wykonania uchwał Rady Powiatu Słupskiego. Odkonano pięć posiedzeń Zarządu, na których przygotowano dziewięć projektów uchwał Rady Powiatu. Projekty te były wnikliwie analizowane na posiedzeniach komisji i głosowanie nad ich podjęciem na sesji przebiegło niezwykle sprawnie. Zarząd Powiatu podjął dziesięć uchwał własnych. Dotyczyły one wielu spraw z zakresu drogownictwa i finansów, między innymi ustalono Regulamin Organizacyjny Zarządu Dróg Powiatowych w Słupsku, przyjęto projekt uchwały w sprawie Wieloletniej Prognozy Finansowej i projekt budżetu powiatu słupskiego na 2012 rok. Projekty uchwał dotyczących finan-

# Dobry kurs

*Radni na sesji przyjęli Program współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi na 2012 rok*

Fot. D. Zawisza



## Odznaczenia dla pracowników samorządowych

*30 listopada w sali reprezentacyjnej Starostwa Powiatowego w Słupsku odbyła się uroczystość wręczenia odznaczeń państwowych przyznanych najbardziej zasłużonym pracownikom starostwa i działaczom Polskiego Związku Głuchych*

Włodzimierz Frąckowiak z Ustki - przewodniczący Koła Terenowego Polskiego Związku Głuchych, Srebrnym - Andrzej Bury - wicestarosta słupski oraz Irena Tkaczuk-Kawalerowicz - sekretarz powiatu.

Za wzorowe, wyjątkowo sumienne wykonywanie obowiązków wynikających z pracy zawodowej - Medalem Złotym za Długoletnią Służbę odznaczono: Zbigniewa Babiarza-Zycha, Jana Fąfara, Małgorzatę Hoffmann, Elżbietę Matuszewską,



Odznaczenia wręczał wicewojewoda pomorski Michał Owczarczak. W uroczystości udział wzięli także Marek Biernacki - wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Pomorskiego, Ryszard Stus - przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego oraz radny Arkadiusz Walach.

Złotym Krzyżem Zasługi na rzecz społeczności lokalnej odznaczony został

Małgorzatę Mikołajczak-Paszczyk, Danutę Rolbiecką i Grażynę Śniadą. Srebrnym Medalem odznaczono Sławomira Ziemianowicza - starostę słupskiego.

Wicewojewoda w imieniu swoim, jak również Prezydenta RP pogratulował wszystkim nagrodzonym, życzył dalszych sukcesów w codziennej, trudnej pracy samorządowej. **(M.M.)**

# na edukację



sów były także szczegółowo omawiane na komisjach, zostały umieszczone na tablicy ogłoszeń starostwa i w Biuletynie Informacji Publicznej. Dwoma uchwałami Zarząd dokonał zmian w budżecie powiatu na 2011 rok. Kolejną upoważnił Akademię

Pomorską w Słupsku do przeprowadzenia postępowania i udzielenia zamówienia publicznego na dostawę sprzętu i wyposażenie sali laboratoryjnej - w ramach realizowanego partnerskiego projektu pn. „Przebudowa i doposażenie laboratorium - Edukacyjne Centrum Zarządzania Kryzysowego”. Laboratorium to przyczyni się do podniesienia jakości kształcenia studentów na kierunku bezpieczeństwo narodowe.

Radni podjęli uchwały w sprawach: obowiązujących w 2012 roku opłat za usunięcie i przechowywanie pojazdu usuniętego z drogi oraz wysokości kosztów w razie odstąpienia od usunięcia pojazdu; przyjęcia pomocy finansowej od gminy Smołdzino na modernizację chodników w Gardnie Małej i Gardnie Wielkiej; zmiany uchwały Nr IX/80/2011 Rady Powiatu Słupskiego z dnia 30 sierpnia 2011 roku

w sprawie przekazania środków finansowych na Wojewódzki Fundusz Wsparcia Państwowej Straży Pożarnej województwa pomorskiego - z przeznaczeniem na realizację zadań związanych z rozbudową pomieszczeń garażowych w Jednostce Ratowniczo-Gaśniczej Nr 1 w Słupsku. Przyjęli też Programu współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi na 2012 rok, wyrazili wolę współpracy w realizacji projektu systemowego pn. „Pomorskie - dobry kurs na edukację. Szkolnictwo zawodowe w regionie a wyzwania rynku pracy”, a także zamiaru likwidacji Technikum Uzupełniającego wchodzącego w skład Zespołu Szkół Technicznych w Ustce. Określili rozkład godzin pracy aptek ogólnodostępnych w 2012 roku, dokonali zmian w składach Komisji. Przyjęli plany pracy Komisji i Rady Powiatu Słupskiego na 2012 rok.

Przewodniczący Ryszard Stus pogratulował wyróżnionym pracownikom starostwa i działaczom, którzy 30 listopada br. zostali odznaczeni za sumienne i wzorowe wykonywanie obowiązków wynikających z pracy samorządowej. (D. Z.)

*Z okazji Świętego Mikołaja powiatowa Sowa zaprosiła dzieci do swojego domu, by wręczyć im mikołajkowe upominki*

## Mikołajki z Sową

Z pewną dozą nieśmiałości dzieci witały się z puchatą przyjaciółką, dla której każde przygotowało wierszyk lub piosenkę. Wszystkie ochotczo ustawiały się w kolejce, by z jej rąk odebrać prezenty spod pachnącej i pięknie oświetlonej choinki. Obdarowanym bardzo podobały się kolorowe paczuszki, w których znaleźli puzzle z Mikołajkami i Sową, skarbonki, słodkości. Śmielsze dzieci przytulały się do Sowy, by zrobić sobie z nią pamiątkowe zdjęcie.

Oprócz pojedynczych maluchów w starostwie pojawiły się też ich całe grupy. Przyjechały m.in. dzieci z Przedszkola Miejskiego Nr 1 w Ustce, „Kubusia Puchatka” w Pobłociu i Przedszkola Gminnego „Gajka” w Jezierzycach. Wszystkie chętnie tańczyły z Sową. Podczas mikołajkowych odwiedzin mali goście spotkali się również z włodarzami powiatu - starostą Sławomirem Ziemia-

nowiczem, wicestarostą Andrzejem Burym, sekretarz powiatu - Ireną Tkaczuk-Kawale-

rowicz. Mogli zadawać pytania i pochwalić się otrzymanymi prezentami. (D.W.)



# *Patriotycznie i radośnie*

*„Polska łączy nas  
wszystkich i dlatego  
11 listopada to  
święto wypełnione  
dobrymi emocjami  
i pozytywną ener-  
gią” - napisał  
do młodych Pola-  
ków prezydent  
RP Bronisław  
Komorowski*

W liście wysłanym do szkół prezydent RP wyraził również pragnienie, by uczniowie aktywnie włączyli się w obchody święta. Zachęcił do zrobienia biało-czerwonych kotylionów - znaków obywatelskiej wspólnoty. Ustecki ogólniak przyłączył się do akcji i jego uczniowie zrobili ponad 200 kotylionów, które wszyscy przypięli. Klasa II b przygotowała uroczysty apel.

Uczniowie Gimnazjum im. Czesława Miłosza w Dębicy Kaszubskiej przedstawili montaż słowno-muzyczny przypominający okoliczności odzyskania przez Polskę niepodległości. Na program artystyczny złożyły się piosenki z czasu I wojny światowej, pieśni legionowe oraz przemówienia przedstawicieli władz rodzącej się państwowości polskiej. Uczniowska prezentacja została gorąco przyjęta przez zgromadzoną widownię. Na zakończenie uroczystości wójt Eugeniusz Dańczak zaintonował Rotę, którą wszyscy wspólnie odśpiewali.



## *Lekcje na Placu Cze*

**W** dniach 9 - 13 listopada br. uczennice Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Ustce z opiekunką, Bożeną Łowiecką przebywały w Moskwie w ramach projektu UNESCO. Wyjazd był wyjątkowo udany. Program pobytu obejmował zajęcia w szkole, warsztaty i zwiedzanie Moskwy.

Uczennice mieszkały u rodzin swoich moskiewskich koleżanek. Zostały bardzo ciepło przyjęte. Już pierwszego dnia zaplanowano im pobyt w moskiewskim cyrku. Wszyscy byli zachwyceni umiejętnościami rosyjskich artystów. Dzień drugi upłynął na zajęciach w szkole i na występach młodzieży. Szczególny podziw wzbudziły niesamowite tańce gospodarzy, opanowane do perfekcji. Młodzież usteka zaprezentowała utwór „Kocham Cię Polsko” oraz szanty.

Trzeciego dnia odbyła się konferencja poświęcona szkolnym samorządom. Ustecka prezentacja bardzo się spodobała,

*Wyjazd usteckich uczennic do Moskwy  
był wyjątkowo udany, sporo zobaczyły  
i nawiązały wiele znajomości*



szczególnie organizacja Dni Kolorowych i akcji charytatywnych. Gdy młodzież zwiedzała Moskwę, w tym czasie nauczyciele

wzięli udział w konferencji i warsztatach pod hasłem „Nasza nowa szkoła”, a następnie udali się na wieczorne spotkanie z przy-

W tym szczególnym dniu odbyła się również uroczystość, w trakcie której uczniowie klas pierwszych złożyli ślubowanie, stając się pełnoprawnymi członkami społeczności uczniowskiej.

Podniosła atmosfera, oprawa artystyczna, tekst przysięgi oraz symboliczny moment pasowania na ucznia - na długo zostaną w pamięci pierwszaków.

W finale młodzież pięknie zatańczyła poloneza, którego przygotowała pod fachowym okiem Magdaleny Siemaszko.

\*\*\*

Wojewódzkie obchody Święta Niepodległości odbyły się w Słupsku. W związku z rezygnacją Romana Zaborowskiego z funkcji wojewody pomorskiego, związaną z objęciem mandatu senatora RP, władze wojewódzkie reprezentował wicewojewoda Michał Owczarczak.

Obchody rozpoczęły się tradycyjnie mszą świętą w intencji Ojczyzny w kościele Mariackim. Po niej uczestnicy przeszli uli-

cami: Łukasiewicza, Jagiełły, Anny Łajming i Deotymy na plac Zwycięstwa, gdzie odbył się apel poległych, oddano salwę honorową oraz złożono kwiaty pod pomnikiem Żołnierza Polskiego.

Uroczystości uświetniła orkiestra dętą WSOK Reduta. Odbyła się defilada wojsk

oraz pokazy sprawnościowe zorganizowane przez 7. Brygadę Obrony Wybrzeża, Szkołę Policji i Straż Pożarną.

Mieszkańcom, którzy przybyli na plac wręczano miniaturowe chorągiewki. Wszystkich zaproszono na też wojskową grochówkę. (M.M.)



Fot. J. Maziejuk

# erwonym

jaciółmi. Czwartego dnia podsumowano młodzieżowe seminarium i wszystkie delegacje dalej zwiedzały Moskwę. Przewodnik szczegółowo opisywał każde odwiedzane miejsce. Spacerowano po Placu Czerwonym, podziwiano malowniczy sobór Wasyła Błogosławionego, Muzeum Historyczne, Wieżę Zbawiciela ze słynnym zegarem oraz ogromny, zabytkowy dom handlowy GUM. Młodzieży podobał się też Wielki Pałac Kremłowski, Grób Nieznanego Żołnierza, Teatr Wielki i MHAT.

Podziwiano panoramę stolicy z Woroobiowych Gor, gdzie na pierwszym planie widać było stadion Łuźniki. Po przeciwnej stronie wznosi się gmach Uniwersytetu Moskiewskiego. Okolica ta słynie m.in. z tego, że jest miejscem spacerów nowożeńców.

Spacerowano po Arbacie. To deptak długości około trzech kilometrów, ulubione miejsce artystów, osławione w pieśni Bułata Okudźawy. Pięknie oświetlona ulica, wprawiała w szczególny nastrój. Nie zapomniano o moskiewskim metrze, którego malownicze stacje przyciągają uwagę każdego i otwartym, po piętnastu latach remontu, planetarium.

**Agnieszka Wilkos  
Ustka**

Młodzież z Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku spotkała się z uczniami partnerskiej, niemieckiej szkoły z powiatu Herzogtum Lauenburg

# Pokonywanie uprzedzeń



**P**odczas dziesięciodniowego pobytu w Ratzeburgu młodzież realizowała bogaty program sportowo-kulturalny. Brała udział w zajęciach na basenie, była w parku wspinaczkowym, pływała łódkami po ratzeburskim jeziorze. Wzięła też udział w warsztatach śpiewu gospel i hip-hopu oraz zwiedzała Ratzeburg, Lubekę i Hamburg.

Spotkanie to było okazją do wymiany doświadczeń i poznawania niemieckiej kultury. Celem prowadzonej wymiany jest bowiem nie tylko przezwyciężanie barier językowych, ale przede wszystkim pokonanie wzajemnych uprzedzeń młodych Polaków i Niemców, wynikających z różnic kulturowych. (M.S.)

Fot. Archiwum

# Mieszkańcy ich wybrali...

## ARKADIUSZ WALACH

Fot. Archiwum



**Pochodzę...** z Pobłocia w gminie Głównicy. Tam się wychowałem pod okiem wspaniałych rodziców: kochanej matki i ojca - nauczyciela.

**Wiek...** ciągle czuję się młody duchem i wciąż jestem pełen zapału do działania mimo czterdziestu dwóch lat, jakie przeżyłem.

**Wykształcenie...** uczę się cały czas. Każdego dnia zdobywam wiedzę, która czyni mnie bogatszym duchowo człowiekiem. Ukończyłem Zespół Szkół Budowy Okrętów w Ustce.

**Pracuję w...** Spółce z kapitałem norweskim TRITEC Polska. Lubię swoją pracę i cieszę się, że zagraniczni inwestorzy coraz częściej decydują się na ulokowanie swoich zakładów w perspektywnym powiecie słupskim.

**Moja rodzina...** dodaje mi energii do działania. Żona i dzieci wychowane w tradycji i poszanowaniu dla najważniejszych ludzkich wartości, pomagają mi w trudnych chwilach. Razem tworzymy zespół.

**Z samorządem jestem związany od...** dekady. Przed ostatnimi wyborami byłem wiceprzewodniczącym Rady Gminy Smołdzino. Jestem też prezesem klubu piłkarskiego KS Rowokół Smołdzino.

**Zostałem radnym, bo...** pragnę współpracować z ludźmi, by razem zmienić na lepsze otaczającą nas rzeczywistość. Praca w Radzie umożliwia mi tę współpracę i otwiera bramkę do działania na rzecz potrzebujących.

**Realizuję się w pracach komisji...** Rewizyjnej, jako przewodniczący oraz wiceprzewodniczący Komisji Budżetu, Finansów oraz Rozwoju Powiatu.

**Dobry samorządowiec to...** człowiek, dla którego najważniejsze jest dobro mieszkańców danego obszaru. To osoba posiadająca ogromne pokłady ener-

gii i motywacji do działania, która jest w stanie walczyć wytrwale w imię istotnej sprawy i osiągnięcia zamierzonego celu.

**Atutem powiatu słupskiego jest...** a raczej są ludzie. W powiecie słupskim widać wyraźnie, jak rozwija się społeczeństwo obywatelskie, gotowe do działania i podejmujące coraz więcej samodzielnych inicjatyw. Inny nasz atut to położenie powiatu nad Bałtykiem.

**Gościom najczęściej pokazuje...** nasze sztandarowe atrakcje, z niezwykłym skansenem w Klukach i nadmorskimi wydmami na czele. Godna odwiedzenia jest Ustka, a także Rowy, Poddąbie i Czołpino.

**W ludziach cenię...** zapał do czynnego uczestnictwa w życiu swojej miejscowości oraz szczerą i uczciwą - bez tego nie można budować między-ludzkiej współpracy.

**Najbardziej nie lubię...** bezduszności, jaka niestety często jest widoczna w polskim społeczeństwie. Człowiek powinien patrzeć sercem na swoich bliznich i, w razie potrzeby, spieszyć z pomocą w granicach rozsądku.

**Moja największa zaleta i wada...** jestem niezwykle wytrwały w dążeniu do celu i przy tym otwarty na wszelką współpracę. Jeśli chodzi o wady, przy-

znaję, czasem zbyt emocjonalnie reaguję na dziejącą się wokół mnie krzywdę lub niesprawiedliwość.

**Ulubione miejsce na wypoczynek...** wypełniony miłością dom rodzinny. Tu, jeśli tylko mam czas, najlepiej regeneruję się przed wyzwaniem dnia codziennego, na przykład czytając ciekawe książki.

**Mój największy sukces...** to organizacja imprez kulturalnych dla pociech z gminy Smołdzino. Wraz z przyjaciółmi utworzyliśmy Stowarzyszenie Aktywności Lokalnej „Razem Zrobimy Wiele” i staramy się pomagać potrzebującym. Myślę, że sukcesem jest to, że prosty człowiek jakim jestem, dostał mandat zaufania od mieszkańców, by ich reprezentować w Radzie Powiatu.

**Największe marzenie...** to osiągnięcie z młodymi, perspektywnymi ludźmi, którym pomagam, założonych sobie celów. Pragnę zobaczyć, jak kroczą oni w swoim dorosłym życiu prawą ścieżką i jak dają przykład kolejnym młodym do działania.

**Motto życiowe...** Pielęgnuj swoje marzenia. Trzymaj się swoich ideałów. (...) Wielkie biografie powstają z ruchu do przodu, a nie z oglądania się do tyłu. - Paulo Coelho. „Razem zrobimy wiele”.

## STANISŁAW GOSŁAWSKI

Fot. J. Maziejuk



**Pochodzę...** urodziłem się w Wierzchowie koło Szczecinka, najlepsze lata dzieciństwa spędziłem w Kończewie, a od trzydziestu lat mieszkam i pracuję w Kępicach.

**Wiek...** 52 lata.

**Wykształcenie...** magister wychowania fizycznego.

**Pracuję w...** Gimnazjum im. Karola Wojtyły w Kępicach. Wcześniej dodatkowo pracowałem również jako trener piłki nożnej w dwóch klubach - Garbarńi Kępice i Unii Korzybie.

**Moja rodzina...** to kochana żona, córka i syn. Córka ukończyła dwa kierunki studiów i obecnie pracuje jako doradca finansowy w Poznaniu. Natomiast syn jest studentem drugiego roku Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu. Bardzo się cieszę, że sport jest jego sposobem na życie.

**Z samorządem jestem związany od...** 1994 roku, kiedy zostałem radnym gminy Kępice. Te pierwsze cztery lata były dla mnie dobrą samorządową szkołą, a zdobyte doświadczenia udało mi się później wykorzystać w Radzie Powiatu, do której zostałem wybrany. W ostatnich wyborach samorządowych ponownie zostałem radnym powiatowym.

**Zostałem radnym, bo...** lubię pracować dla ludzi. Doceniam to, co robią inni i zawsze staram się im służyć. Zadania realizuję najlepiej, jak tylko potrafię.

**Realizuję się w pracach komisji...** Polityki Społecznej i Budżetu i Finansów oraz Rozwoju Powiatu.

**Dobry samorządowiec to...** człowiek, który umie słuchać innych, liczyć się z ich zdaniem i poglądami. Powinien także umiejętnie współdziałać i pracować w zespole, a w samorządzie

realizować nie cele własne, ale cele wyborców.

**Atutem powiatu słupskiego jest...** na pierwszym miejscu są ludzie, bo oni są podstawą każdej społeczności. Taki kapitał widzę w swojej gminie, jak również w powiecie. Na drugim jest wszystko, co nas otacza, a naszym największym bogactwem jest natura. Gmina Kępice, gdzie przeważają lasy i jeziora, jest przepiękna i niezwykła.

**Gościom najczęściej pokazuje...** najpierw swoją gminę. Nie bez znaczenia jest to, że mieszkamy w okolicy, gdzie jest pałac Bismarcka. To kultowe miejsce dla naszej gminy, wyjątkowe i niesamowite. Wszystkich gości zabieram nad Jezioro Łętowskie, położone na granicy gminy Sławno i Kępice. Wszyscy są tym miejscem zauręczeni. Nad morze najchętniej wybieram się do Orzechowa, bo to dobre miejsce na wędkowanie.

**W ludziach cenię...** prawdomówność. Lubię ludzi, którzy mają określone poglądy i są im wierni.

**Najbardziej nie lubię...** „kameleonów”. Nie budzą mojego szacunku osoby, które zmieniają zdanie w zależności od sytuacji, w jakiej się znajdują. **Moja największa zaleta i wada...**

zaletą jest zapewne miłość do ludzi, ja po prostu ich lubię. Szczególnie dzieci i młodzież, z którymi chętnie przebywam i pracuję. A wada? Chyba to, że zbyt ufam ludziom.

**Ulubione miejsce na wypoczynek...** każde miejsce, gdzie można wypoczywać aktywnie. Najważniejsze, by nie siedzieć z pilotem przed telewizorem. Jesienią i zimą chodzę na halę, a od stycznia wyjeżdżam nad wodę, na ukochane wędkowanie. Poza tym uwielbiam podróżować.

**Mój największy sukces...** to trafny wybór zawodu. Spełniam się zawodowo, mam dużą satysfakcję z tego, co robię i tzw. pełnię życia. Praca z młodzieżą daje mi dużo pozytywnej energii i dlatego wciąż czuję się młodo.

**Największe marzenie...** właściwie mam jedno - chciałbym poznać świat. Marzą mi się wyprawy w egzotyczne miejsca - na Alaskę, Kamczatkę, do Indii, Konga, bo chciałbym poznać życie w innych regionach świata.

**Motto życiowe...** kto nie umie daleko spoglądać, ten blisko ma kłopoty (Konfucjusz).

**Zanotowała:**  
**Maria Matuszewska**

# Na świętego Marcina najlepsza pomorska gęsina

**J**uż po raz czwarty w Muzealnej Zagrodzie Albrechta zorganizowano folklorystyczną imprezę związaną z tradycją listopadowego bicia gęsi na Pomorzu. W tym roku Muzeum Pomorza Środkowego po raz pierwszy zdecydowało się na dwudniową imprezę, która odbywała się w ogrodzie i budynkach zagrody, a także w Gospodzie „Pod Wesołym Pomorzaninem”, gdzie serwowano regionalne dania z gęsi. Przygotowano wiele przysmaków. Można było skosztować brukwiankę z kotła, bigos z gęsiną, wędzone półgęski, pierogi i pyzy z gęsiną, tatar i pasztet z gęsi, gęś pieczoną, smalec z gęsi ze swojskim chlebem i ogórkiem. Oprócz gęsiego menu mieszkańcy „Krainy w Kratę” przygotowali dla gości inne kulinarne specjalności: przetwory warzywne, dżemy, konfitury, miody i nalewki. Dla dzieci zorganizowano liczne gry i zabawy.

Większość osób, które wybrały się na gęsią imprezę do Swołowa, zwiedza-

*Gęsie przysmaki przyciągnęły do Swołowa setki mieszkańców regionu i turystów*



Fot. J. Maziejuk

ła obiekty Zagrody Albrechta. Chętnie sprawdzano, jak działały dawne maszyny rolnicze, jak mieszkał jeden z najbogatszych gospodarzy na Pomorzu. Kiedyś gęsi na Pomorzu były w powszechnej hodow-

li. Dzisiaj spotkać je można tylko w niektórych wiejskich zagrodach. Powrót do tradycji listopadowego ich bicia Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku zainicjowało kilka lat temu. (M.M.)

# Podzieleni przez wiatr



Fot. A. Sawicki

*Protest przeciwników  
budowy wiatraków  
w głównej mierze wynika  
z sąsiedzkiej zawiści  
i braku solidarności  
w działaniu na rzecz  
dobra wspólnego  
mieszkańców*

W gminie Ustka budowana jest farma wiatrowa mająca na celu uzyskanie energii elektrycznej zgodnie z nową technologią, zapewniającą bezpieczeństwo jej mieszkańców. Wytwarzanie tym sposobem energii wymaga poznania nowej wiedzy i pokonywania stereotypów. Potrzeba ta wynika z obowiązku dbania o środowisko, zaprzestania jego dalszej degradacji i niedopuszczenia do katastrofy ekologicznej. Wokół tego problemu toczy się nie tylko dyskusja, ale również podejmowane są działania zmierzające do opóźnienia inwestycji. Niewielka garstka przeciwników, którzy nie do końca potrafili określić swoje racje, opóźnia budowę farmy wiatrowej, a także przyczynia się do stagnacji życia gospodarczego i kulturalnego w swoich miejscowościach.

Korzyści, jakie można będzie osiągnąć z realizacji tej inwestycji, to przede wszystkim: bezpieczeństwo, ochrona środowiska, rozwój ekonomiczny i kulturalny regionu, rozwój infrastruktury wsi, nowe chodniki, lepsze drogi, kanalizacja, możliwości kulturalne, sportowe i rekre-

acyjne tak mieszkańców, jak i przyjezdnych turystów.

Pomimo takiej perspektywy protestujących to nie obchodzi. Z całą mocą należy też podkreślić, że na polach protestujących bez ich zgody, nikt nie ma zamiaru wybudować jakiegokolwiek wiatraka, a granice oddziaływania wiatraków znajdujących się na polach rolników, którzy wyrazili chęć budowy, są zgodne z prawem.

Protest przeciwników budowy wiatraków w głównej mierze wynika z sąsiedzkiej zawiści i braku solidarności w działaniu na rzecz dobra wspólnego mieszkańców poszczególnych sołectw. Firma realizująca inwestycję napotyka na ciągle nieuzasadnione żądania ze strony protestujących.

W tej sytuacji apeluję o rozagę i rozsądek, zachęcam do dialogu i współpracy zmierzającej do podjęcia wspólnych przedsięwzięć mających na celu zrealizowanie zaplanowanej inwestycji, a tym samym poprawy warunków życia mieszkańców gminy Ustka.

**Piotr Dunin-Kukurowski**  
Słupsk

polemiki - z wiatru można mieć wiele korzyści

*Wolontariat przestał być trendy. Wszystko koncentruje się wokół pieniędzy i doraźnych własnych celów*

# Służyć pocziwej sprawie

Już Jan Kochanowski pisał: „Służmy pocziwej sławie. A jak kto może, niech ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.” Dzisiaj, gdyby przeprowadzić uliczną sondę i zadać pytanie: proszę wymienić nazwę przynajmniej jednej organizacji pozarządowej, która niesie innym pomoc, z pewnością wielu zapytanych mogłoby mieć z tym problem. Z dużą obawą oczekiwałbym na rezultaty takiej ankiety. Pewnie wielu w tym momencie może przecierać oczy z niedowierzania, ale jeśli chodzi o wiedzę oraz zaangażowanie obywatelskie w Polsce, to

mówiąc najdelikatniej, sytuacja pozostawia wiele do życzenia. Oczywiście, zgadzam się ze stwierdzeniem, że jesteśmy młodą demokracją, zaledwie dwudziesto-jednoletnią. Jednak jest to już wystarczający czas, aby móc wyciągać odpowiednie wnioski, nauczyć się czegoś na przyszłość i przede wszystkim nie popełniać wciąż tych samych błędów.

Tymczasem z roku na rok mamy coraz mniejszą frekwencję wyborczą, niewielkie jest zainteresowanie tym, co dzieje się w środowiskach lokalnych, słabnie zaangażo-

wanie w pracę społeczną na rzecz innych. Wolontariat przestał być trendy. Wszystko koncentruje się wokół pieniędzy i doraźnych własnych celów. Jednocześnie coraz częściej mamy do czynienia z narzekaniem, niezadowolaniem i głosami krytyki na wszystko i wszystkich. Zdania w stylu: nie ma na kogo głosować, co mnie to wszystko obchodzi, ile za to płacą, stają się coraz bardziej powszechne. Liczę się tylko „ja” i moje sprawy. Przykłady te i sytuacje mogą tylko świadczyć o tym, że nie potrafimy jeszcze w pełni korzystać z demokracji. Z jakis bli-

*Nie zapominajmy o tradycji wigilijnego wieczoru, wtedy nasze wnuki też nie zapomną o niej w przyszłości*

## Najpiękniejsze święta

Każdy wierzący człowiek, nie tylko wystrojem swego mieszkania, ale również czystością duchową chce powitać Nowonarodzonego. Kościół proponuje przygotowanie się w poprzedzający święta Adwent. Przypominają mi się słowa Adama Mickiewicza z trzeciej części „Dziadów”: „Wierzysz, że Bóg się zrodził w Betlejemskim żłobie. Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.” W słowach tych zawarta jest myśl, która jest nakazem ducha. Bo czym właściwie w dobie telewizji, Internetu są święta Bożego Narodzenia? Czy tylko nawiązaniem do tradycji, datą oznaczoną czerwonym kolorem w kalendarzu, poddaniem się chwilowemu urokowi choinki, opłatka, prezentów?

Nie, święta to jednak coś więcej. To rodziny Chrystusa, który ponad dwa tysiące

lat temu przyszedł na Ziemię. Wkroczył w naszą historię, chcąc nam pokazać właściwy kierunek, tchnąć nadzieję i nadać sens naszemu życiu. A nasze życie pędzi coraz szybciej. Ludzie próbują dogonić pędzący w szalonym tempie świat. Pragną zapewnić sobie i swojej rodzinie lepszy byt. Nie chcą być gorszymi od sąsiadów. I gdzie tu, w tym galopie miejsce na refleksję, na zastanowienie się nad drogą życia. Po to m.in. są święta Bożego Narodzenia. Jest to najwspanialszy prezent dla ludzi, jaki może im ktoś dać. To czas, który pomaga nam zatrzymać się na chwilę, zastanowić nad sobą, naszą rodziną. Myśłami wracamy do czasów dzieciństwa, możemy porównać ten czas z obecnym, przypomnieć sobie rodzinny dom, wspomnieć rodziców, dziadków. Możemy

zastanowić się, jak często daleko jesteśmy od tamtych chwil, kiedy z ojcem szliśmy razem do lasu po choinkę, upatrzoną jeszcze w czasie letniego zbierania jagód. Wspominamy dziadkową jabłonkę, na której rodziły się dorodne, czerwone jabłka. Wisiąły na niej do mrozów, pomimo że na drzewie nie było już ani jednego liścia. Wieszaliśmy te jabłuszka na naszej choince - tak robił zawsze nasz dziadek.

Nie zapominajmy o tradycji wigilijnego wieczoru, o dwunastu potrawach, białym obrusie, sianku na wigilijnym stole. Wtedy nasze wnuki też o tym nie zapomną w przyszłości. Nie zapomną może też o polskiej, jedynej na świecie tradycji łamania się opłatkiem.

**Henryka Jurałowicz -Kurzydło, Słupsk**

czy tak naprawdę są święta bożego narodzenia?

czy wiemy, jak funkcjonują w naszych lokalnych środowiskach organizacje pozarządowe, czy nas to interesuje?

żej nieokreślonych powodów nie uświadamiamy sobie, jak wielką siłę ma ta niepozorna, mała - biała kartka do głosowania, ile dobrego może przynieść obywatelskie działanie.

W Polsce działa sporo organizacji pozarządowych - stowarzyszeń, fundacji. Nikt tak naprawdę nie jest w stanie podać dokładnej ich liczby. Wachlarz ich działalności jest doprawdy imponujący i różnorodny. Ale czy wiemy, jak funkcjonują w naszych lokalnych środowiskach? Czy nas tak naprawdę interesuje, czym się zajmują, w jaki sposób starają się pomagać innym?



Okazją do pochylenia się nad obywatelską kondycją polskiego społeczeństwa było odbywające się niedawno w Warszawie, zorganizowane już po raz szósty Ogólnopolskie Forum Inicjatyw Pozarządowych. Ta cykliczna impreza odbywała się co trzy lata. Stwarza szansę poznania się nawzajem, podzielenia doświadczeniami. Forum staje się też wielką areną ponad podziałami do wymiany cennych myśli, uwag oraz poglądów.

Na tegorocznym Forum swój dorobek zaprezentowało osiemdziesiąt organizacji i stowarzyszeń. Poprzedzone ono zostało Tygodniem Obywatelskim. Zorganizowano wiele spotkań, wystaw i spacerów edukacyjnych. Na tym

prestżowym spotkaniu nie mogło oczywiście zabraknąć też silnej reprezentacji województwa pomorskiego i regionu słupskiego. W Forum wzięły udział: słupskie Koło Polskiego Związku Niewidomych, Centrum Inicjatyw Obywatelskich, Fundacja Indywidualnego Rozwoju Osób Niepełnosprawnych Progresja, Towarzystwo Przyjaciół Opieki nad Zwierzętami „Animals”, Polskie Stowarzyszenie Mediacji „Krağ”.

W jednym wspólnym i dużym namiocie każdy region miał swoją powierzchnię wystawową, na której prezentował dorobek i osiągnięcia. Dobrze, że przyjechały do Warszawy słupskie organizacje, bo wielu z nas nie ma świadomości i wiedzy, jak dużo zależy w lokalnych środowiskach od aktywności organizacji pozarządowych, inwencji, pomysłowości, a przede wszystkim od ich zaangażowania. Często jest ona skutecznym lekarstwem na beznadzieję i lokalny marazm.

**Jacek Kopyłowski**  
„Gazeta Mówiona”, Słupsk

„Już rozbłysnęło nam światło, to Gwiazda Betlejemską. Nad wszystkimi narodami dziś jasno świeci.” Są to słowa jednej z pieśni napisanej przez Joachima Schwarza, zaczerpniętej ze śpiewnika polsko-niemieckiego pt. „Usłysz, Boże, naszą pieśń”, który został wydany wraz z płytą „Aby wszyscy byli jedno”, jako podsumowanie projektu „Muzyka jest językiem, który łączy wszystkie narody i cały świat, jeśli służy pokojowi”. Jego realizacja trwała cztery lata (2008 - 2011) i zakończyła się sukcesem w postaci nagrania i wydania pieśni Joachima Schwarza - dyrektora muzyki kościelnej, kompozytora i wydawcy w języku polskim i niemieckim. Takie było życzenie jego żony Mechthild Schwarza.

Joachim Schwarz urodził się w 1930 roku w Słupsku, ukończył studia muzyczne w Lubece i w Hamburgu. Jako kompozytor i wydawca należał do protagonistów, gatunku muzycznego nowych pieśni kościelnych. Jest autorem kanonu „Ausgang und Eingang”, który znajduje się w prawie wszystkich chrześcijańskich śpiewnikach na świecie (przetłumaczony na dziesięć języków). W latach dziewięćdziesiątych organizował koncerty w Polsce i Niemczech z udziałem chórów niemieckich i polskich oraz grup instrumentalnych. Czynnie wspierał Stowarzyszenie Rekonstrukcji Organów w kościele św. Jacka w Słupsku, którego prezesem był Janusz Dudziński. Włączył się w pozyskiwanie funduszy na ten cel oraz pomógł w dotarciu do oryginalnych dokumentów z okresu budowy instrumentu. W swojej książce „Im Osten geht die Sonne auf” (Na wschodzie wschodzi słońce) pisał (w kontekście swojego zaangażowania się w rekonstrukcję organów kościoła św. Jacka w Słupsku): „Czasami jestem pytany, czy rzeczywiście wspieranie

# „Usłysz, Boże, naszą pieśń”

*Powstało swoiste niemiecko-polskie dzieło o pokoju, miłości i nadziei pt. „Damit sie alle eins sind - Aby wszyscy byli jedno”, które umożliwiło wspólną realizację koncertów przez artystów z Polski i Niemiec*



tego projektu jest konieczne. Odpowiadam wtedy jednoznacznie: Tak! Każdy kraj

czepie w teraźniejszości ze swojej historii. Świadomości historycznej nie wolno zatracić. Do tego należy również kulturowe dziedzictwo narodu. Polacy i Niemcy żyli, bądź musieli żyć, ze zmieniającą się wciąż historią Pomorza. Dlatego uważam, że wspólne odnawianie, pielęgnowanie i utrzymanie kulturowego dziedzictwa jest ważne.”

W 2008 roku, w dziesięć lat po jego śmierci władze samorządowe Słupska ufundowały mu tablicę pamiątkową, jako osobie, która na trwałe wpisała się w historię miasta. Po jego śmierci kontynuatorką jego idei jest wdowa po Joachimie Schwarzu - Mechthild. Dzięki jej staraniom wydawnictwo Akademii Pomorskiej wydało w 2006 roku autobiograficzną książkę „Na

utrzymanie kulturowego dziedzictwa jest ważne

wschodzie wschodzi słońce", która została przetłumaczona na język polski przez studentów filologii germańskiej Akademii Pedagogicznej pod merytoryczną opieką mgr Ilony Zwierz.

W 2007 roku Mechthild Schwarz zwróciła się do słupskiej dyrygentki i kompozytorki Beaty Wróblewskiej z propozycją opracowania pieśni jej męża i nagrania płyty w wersji polskiej i niemieckiej. Artystycznego przekładu tekstu dokonali: Jolanta Nitkowska-Węglarz, Joanna Wojdyło oraz ks. Jarosław Brylowski. W końcowym efekcie powstało swoiste niemiecko-polskie dzieło o pokoju, miłości i nadziei pt. „Damit sie alle eins sind - Aby wszyscy byli jedno”, które umożliwiło wspólną realizację koncertów przez artystów z Polski i Niemiec. Dodatkowo, powstał śpiewnik z pieśniami w obu językach, opracowany i wydany przez Beatę Wróblewską.

W grudniu 2009 roku odbyły się koncerty polsko-niemieckie, podczas których zostały wykonane utwory z pieśniami

J. Schwarza w dwóch językach. Chór złożony ze śpiewaków Iuventus Cantans oraz Cantus Pomeraniae koncertował wspólnie z niemieckim Chor der Lauenburgischen Gelehrtenschule w Ratzeburgu pod dyktando Holgera Martensa. Zorganizowanie tych koncertów było możliwe m.in. dzięki niżej podpisanej, która kierowała wówczas Europejskim Biurem Partnerstw w Słupsku, współpracy ze Stowarzyszeniem Na Rzecz Rozwoju Regionu Słowińskiego „Kluka”, Isabel Sellheim ze Stowarzyszenia Stolper Heimatkreise i dzięki dofinansowaniu Starostwa Powiatowego w Słupsku.

Koncert zatytułowany „Muzyka, która łączy narody” wykonany w dniu 4 grudnia 2011 roku był już trzecim koncertem związanym z tą tematyką. Odbył się w kościele Ewangelicko-Augsburskim pw. św. Krzyża, gdzie proboszczem jest ks. Wojciech Froehlich i w kościele pw. św. Jacka, w którym proboszczem jest ks. prałat Jan Gariatowicz. Wykonawcami byli: Chór Akademii Pomorskiej Iuventus Cantans

oraz chór kameralny Cantus Pomeraniae pod dyktando Beaty Wróblewskiej. Gościnnie wystąpili - Katarzyna Chacińska - mezosopran i Bogdan Narloch - organy. Patronat nad koncertem objęło Starostwo Słupskie. Szczególnym gościem, który zaszczylił tę niecodzienną uroczystość była Annette Klein - konsul generalny Konsulatu Niemiec w Gdańsku.

Mechthild Schwarz nie mogła przyjechać na koncert z powodów zdrowotnych. Przysłała list, który odczytał ks. Wojciech Froehlich. W bardzo ciepłych słowach, podziękowała wszystkim, którzy przyczynili się do realizacji marzeń jej męża, do pojednania i współpracy między Polską a Niemcami, do tworzenia warunków w celu realizacji wspólnych przedsięwzięć kulturalnych, takich jak organizowanie niemiecko-polskich koncertów lub też wymiany doświadczeń pomiędzy uczelniami, dyrygentami i chórami obu krajów.

**Joanna Orłowska**  
**Słupsk**

*Domowe przetwory zawierały szczególnie składnik - miłość i wiele serca włożonego w ich przygotowanie*



Fot. J. Maziejuk

soli i dodatków: cukru, marchwi. Tej ostatniej nie może być za dużo, bo kapusta straci kolor. Dosypuję też tartego kopru, żurawin. Dodaję dzikie, kwaśne jabłuszko. Doda kapuście winnego smaku.

Dawniej w beczce kapustę udeptywano się, ja używam specjalnego tłuczka. W naszej rodzinie przechodzi on z pokolenia na pokolenie. Wystrugał go dziadek z dębowego kołka. Kapustę trzeba ubić mocno, żeby wydała sok, który powinien ją całą przykryć.

Kiedyś taka stukilogramowa beczka kapusty gwarantowała przetrwanie zimy, dostarczając naturalnych witamin. Była podstawą do wielu potraw. Jedno z ludowych przysłów mówi: „Beczka kapusty, świńska noga i zima nie groźna”. Wiele miejsca temu warzywowi poświęcono w literaturze i malarstwie. Obecnie częściej w skansenach możemy obserwować kiszenie kapusty niż w domach. Jeszcze tylko w niektórych wiejskich gospodarstwach przygotowuje się na zimę przetwory, wykorzystując do tego domowy warzywniak i sad. Kiedyś spiżarnie i piwnice na wsiach mieściły wiele zapasów. Półki ugięły się pod słoiami ogórków, fasoli, buraków, grzybów. Cieszyły oczy i podniebienia kolorowe soki, kompoty z wiśni, czereśni, konfitury ze śliwek. Dzieciom cięła ślinka na sam ich widok. Wszystko to przygotowywała domowa gospodyni.

Wprawdzie dzisiaj mamy w sklepach i marketach duży wybór konserwowanej żywności, łatwej w przyrządzaniu, jest też wiele soków pitnych w opakowaniach szklanych i kartonowych, to nigdy one nie zastąpią tych naturalnych, domowych. Te były smaczniejsze, zdrowsze i zawierały szczególnie składnik - miłość i wiele serca włożonego w ich przygotowanie.

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk**

# Kiszenie kapusty

Październikowe popołudnia szybko przechodzą w zmierzch. Zaplanowane wycinanie kapusty trzeba było odłożyć na kolejny dzień. Oby tylko nie był deszczowy. Wycięta kapusta w taki dzień nie poleży długo, będzie się psuła. Zaraz z rana, po śniadaniu i obrządku, idę na pole. Tam ostrym jak maczeta nożem ścinam dorodne głowy kapuściane. Kapusta dojrzała na polu. Nie zjadły jej krowy czy jelenie. Wołko unosi się zapach ściętych liści. Są jak uszy słonia, wielkie a zarazem delikatne w dotyku. Ścięte głowy wędrują do stodoły. Tu jakiś czas poleżą, będą dojrzewać. Ambicją wiejskich kobiet jest zakiszenie

kapusty przed Wszystkimi Świętymi. Po tym terminie kapusta traci smak. Jest to sprawa temperatury. W zimnej gorzej się ukwasza.

Ja na kiszenie kapusty wybieram zwykłe dzień, który nie jest obciążony innymi pracami gospodarczymi. W tej czynności bierze udział cała rodzina. Dzieci znoszą w koryta dla krów zbędne liście i wycięte głąby. Białe, dorodne głowy wędrują do kuchni. Tu czeka na nie szatkownica i silne ręce mężczyzny. Szatkownica ustawiona jest nad dokładnie wymytą i wyparzoną beczką. Białe, cienkie wstęgi wpadają do niej. Babcia czuwa nad prawidłową proporcją

**W** malutkim pokoiku, do którego nieśmiało zagląda słońce, tuż przy łóżku niewielka stylowa toaleta. W jej lustrze przegląda się drobniutka twarz. Bezszykownie dłońmi prasuje uparte stado zmarszczek. Roziskrzony wzrok wydaje się krzyczeć. Nijak się ich pozbyć!

Dłonie chętnie służą pomocą, choć już nie takie sprawne. Ale spięły się w sobie i jednym ruchem zrzucają z blatu kilka przeróżnych kolorowych pudełek kremów. Huk upadających plastików na drewnianą podłogę zdaje się przerwać tok myśli starszej pani. Schyla się i podnosi opakowania obiecującej młodości. Ustawia przy lustrze. Czesze srebrne, cienkie kosmyki włosów zerkając na ramki, które wiszą na ścianie seledynowej izdebki. Spogląda z nich młoda uśmiechnięta kobieta z długimi kręconymi, kruczoczarnymi włosami. To przecież ona jeszcze nie tak dawno. Takie miała włosy do czesania. Ciągle narzekała, że niesforne, złe do ułożenia. Zawsze chciała mieć inne, proste, jak jej koleżanka, Krysia. To była dziewczyna. Razem szalały z dziećmi. Gdzie one nie były z nimi. Nie było dnia, by siedzieć w domu.

Cicho westchnęła i podniosła się z krzesła, ale szybko podtrzymała dłońią o kredens. Zapomina, że musi sobie pomagać łaską, że już nie biega jak kiedyś. Wszyscy jej to zarzucali. - Pani Zosiu, pani to zawsze biegiem. Czy ma pani czas posiedzieć, odpocząć?

Dziś ma go za wiele. Ma też ciszę, która przykleiła się do niej i nie chce odejść. Tęskni za wrzaskiem, śmiechem i nawet kłótnią dzieci. Nie dane było jej mieć swoich. Miała jednak dużą gromadkę cudzych. Wiele razy widziała, jaki problem mieli rodzice chcący zarobić parę groszy. Błąkały się te maluchy po drodze, łąkach bez celu. Widziała jak się bawią, jak wymyślają zabawy. I jak znudzone niszczą, co im się w oczy rzuciło. Pomyślała, że pomoże rodzicom.

Nie miała wielkiego domu - dwa pokoiki. Mąż, Julek i tak całymi dniami był w pracy. Jej nie pozwalał pracować. Uważał, że sam utrzyma rodzinę. Razem z Krysią postanowiły założyć społeczne domowe przedszkole. Były świadome, że rodzice nie będą w stanie wesprzeć go finansowo. Nie mając pewności, czy pomysł się uda, w tajemnicy zorganizowały kilka pierwszych godzin zajęć z maluchami. Cały miesiąc lało jak z cebra i dzieci z dnia na dzień przybywało coraz więcej. Wszystkie meble musiały przestawiać, by zrobić miejsce, a potem z powrotem ustawiać, by mąż się nie zorientował.

Wkrótce jednak wszystko się wydało. Julek dowiedział się, że jego dom stał się swoistą mini szkołą-świątlicą. Był dumny ze swej żony. Rodzice szczęśliwi zaczęli przynosić to żywność, to niewielkie kwoty, by też pomóc i podziękować. Lata bieły, maluchy rosły, poszły do szkół. Nawet się nie obejrzały, jak z dzieci Krystyny wyrosły



# Samotność z odrobiną radości i nadziei

*Starata się bez laski podejść do choinki. Jej drobne dłonie zawieszały papierowe ozdoby, gwiazdki, aniołki, serduszka. Na samym dnie pożółkłego kartonika spoczęły laurki świąteczne*

dorodne panienki i przystojny kawaler. Jagna studiowała aktorstwo. Nikt inny tak nie śpiewał ślicznie jak ona. A jej jasełka, to był prawdziwy teatr. Do dziś w szufladach Zosi leżą pamiątkowe zdjęcia i dyplomy z kursów. Elusia została panią doktor i wyjechała za granicę. Pisała kilka razy, że jak wróci, to odwiedzi. Ale nie wróciła. Heniusz polubił tatusia nawyki. Och, ile się Krysia

napłakała. Zmarnował swoje życie, przepił. Leży teraz obok Krysi, a koledzy mu na pomniku koło od motoru wykuli. Tak od małego ukochał motory.

Łzy popłynęły po twarzy pani Zofii na to wspomnienie. Przypomniła sobie, gdzie miała iść. Podreptała do przedpokoju, założywszy płaszcz i kapelusik wyszła na dwór. Przywitała ją piękny dzień. - Jak cu-

Fot. J. Maziejuk

w życiu - jak w lustrze

downie - pomyślała. - To właśnie dziś jest twoja rocznica, Julku. Pan dał nam taki ciepły, słoneczny dzień. Powoli, przy pomocy nieocenionej laski skierowała swoje kroki na cmentarz. Jeszcze kilka lat temu częściej siadywała przy grobie męża. Dziś jest to o wiele trudniejsze. Ma jeszcze umówioną wizytę u Krysi. Chce się jej zwierzyć z samotności. Usiadła przy niewielkiej mogile przypominającej bukiet róż. Sama zrobiła taki wieniec z kwiatów. Jej mąż chyba nawet nie wie, gdzie ona jest pochowana.

- Krysiu - szepnęła tylko.

Gdyby nie porywy chłodniejszego powietrza i zaczepki wiatru, nie zauważyłaby, że zrobiło się późno. Tuż przed wyjściem z cmentarza potrąciła ją biegnąca mała blondyneczka. - O matko! Jaka podobna do Krysi - pomyślała.

Na ulicy usłyszała wołanie: - Pani Zosiu! Pani Zosiu!

Odwrociła się i zobaczyła dwie kobiety, też już niemłode.

- Pani Zosiu, a właściwie ciociu. Byłyśmy u ciebie i nikt nam nie otwierał... Wiedzieliśmy, że możesz być tylko tutaj.

W powrotnej drodze do domu towarzyszyły jej te dwie kobiety i mała dziewczynka z długimi i jasnymi warkoczami. W małym seledynowym pokoiku gwarło zrobiło się jak dawniej. Przez okno zaglądał mroźny zimowy dzień. Słońce próbowało roztopić pomalowane wzory szyb. W pokoju było ciepło i kolorowo. Pośrodku stała choinka z migoczącymi światełkami. Przy stole krzątały się Jagna i Elusia, przekomarzając się, która więcej zapamiętała z dzieciństwa. Pachnące latem sianko przykrywały białym obrusem. Wszędzie rozciągał się zapach barszczu zmieszany z zapachem lukrowanych pierników.

Przy malutkiej stylowej toalecie siedziała staruszka i już miała wziąć szczotkę do rak. W tym momencie małe rączki chwyciły za uchwyt i zaczęły czesać jej spłowiałe kosmyki.

- Babciu, babciu, ja chcę! - wykrzykiwała malutka Krysia.

W lustrze odbijała się twarz pełna zmarszczek o przybladłych kolorach błękitnych oczu. Tym razem były one łagodniejsze, wydawały się rozpylić, chowając w rozczulonym spojrzeniu szczęśliwej kobiety. I zegar zdawał się nie drażnić uszu. Zamilkł, po czym szeptem nieśmiało czynił swoją powinność. Postać kobiety wydawała się być silniejsza. Stała się bez laski podejść do choinki. Jej drobne dłonie zawieszały papierowe ozdoby, gwiazdki, aniołki, serduszka. Na samym dnie pożółkłego kartonika spoczęły laurki świąteczne. Te pani Zosia tuliła czule do piersi, spoglądała w niebo połyskujące gwiazdami bożonarodzeniowej nowiny.

Za oknem śnieżne płatki obserwowały starszą panią. W jej ramionach znajdowała się mała dziewczynka.

**Aldona M. Peplińska, Motarzyno**

# Pan Zbyszek i jego psy



Fot. J. Maziejuk

*Mieszka w cieniu  
pięknego, choć za-  
niedbanego pałacu  
w Kończewie, i moż-  
na o nim żartobliwie  
powiedzieć, że „ze-  
szedł na psy”*

O kim mowa? O Zbigniewie Kowalczyku - dyrektorskiej Firmy „ROLPOL”. Pan na włościach i to nie byle jakich. Zarządza setkami hektarów ziemi, które obsiewa zbożem i kukurydzą. Urodził się na Kociewiu koło Skurcza, jego rodzice pochodzą z ziemi mazowieckiej. Akademię Rolniczą ukończył w Szczecinie. Całe swoje życie poświęcił rolnictwu. Pracował w dawnym PGR. Żonaty, ma dwie dorosłe córki. Nie wyróżnia się zbyt od innych mieszkańców okolicy. Jest jednak coś, czym wzbudza zainteresowanie innych. Jest kolekcjonerem! Zbiera od ponad dziesięć lat figurki psów. Ma ich ponad pięćset sztuk. Są różne, żadna się nie powtarza. Porcelanowe, metalowe, drewniane, gipsowe, gliniane. Różnią się wielkością. Są wśród nich miniaturowe i pieski naturalnej wielkości. Wszelkie rasy. Są takie, które nabył za przysłowiowy „psi grosz”, ale są też bardzo drogie. Wszystkie mają swoją wartość.

Fot. J. Maziejuk

Niech fraza malowane dzieje z Pieśni Wajdeloty Adama Mickiewicza wprowadzi w świat obrazów Antoniego Dmocha, Mazura z pochodzenia, słupszczanina z wojskowego przydziału i własnego wyboru. Życiowe perypetie autora martwej natury „Pożegnanie z bronią” z 2000 roku są świetnie opisane przez Gabryelę Włodarską-Koszutowską w katalogu wystawy „Antoni Dmoch. Radość obrazowania” wydanym przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Olejny obraz na płótnie nawiązuje do szczegółu biograficznego i ma charakter metafory. Manierka, menażka, odłożony wojskowy pas z kaburą na zsuwających się ze stołu arkuszach i kotara we wzór moro to malarski sposób pożegnania dotychczasowego życia. To jednocześnie świetny pomysł, by z przymrużeniem oka wykorzystać Hemingwayowy tytuł i zarysować dystans wobec siebie. Wojskowe rekwizyty zyskują walor artystyczny, odchodzą w przeszłość razem z zapisaną w nich biografią. Kotara, częsty motyw malarski, jest zapowiedzią, obietnicą oddania się pasji artystycznej. Stefania Dmoch wspomina: „Nagle miał tyle czasu... Nie umiał go spożytkować na jakiś konkretny cel. (...) Podświadomie (a może już świadomie?) kierował swe zainteresowania na malarstwo.”

## Malowan

*„Nagle miał  
tyle czasu... Nie  
umiał go spo-  
żytkować na  
jakiś konkretny  
cel. (...) Pod-  
świadomie (a  
może już swia-  
domie?) kiero-  
wał swe zain-  
teresowania na  
malarstwo.”*





Jest również zamiłowanym obiektywnym światem. W swoich wędrówkach przemierzył całą Europę. Nie obce mu też kraje egzotyczne - Chiny czy Egipt. Ze swoich wyjazdów zawsze coś przywozi do kolekcji. Ten rok chce zwieńczyć wyjazdem w Alpy, do Tyrolu. Z pewnością znowu wzbogaci swoją kolekcję. Kręci go i nęci, aby zwiedzić i objechać Skandynawię. Urzekły go tamte kraje.

Na pytanie, co spowodowało, że zaczął kolekcjonować figurki psów, odpowiada, że bardzo kocha zwierzęta. Właściwie wszystkie - psy najbardziej. Mają w

sobie tzw. psi pazur. Wyróżniają się charakterem, przywiązaniem do swojego pana i miejsca, w którym żyją. Mimo ogromnej populacji, każdy pies ma inny charakter. Są trochę podobne do ludzi.

Chce swojej kolekcji przeznaczyć oddzielne pomieszczenie, w którym zamierza wreszcie uporządkować wszystkie eksponaty i je należycie wyeksponować. Już takie wygospodarował. Brakuje mu tylko czasu, by to zrobić. Mimo że pola już obsiane, musi nadzorować wycinkę olchy, która rozrasta się szybko i zagraża uprawom. Na

razie jego psy królują wszędzie. Witają gości w przedpokoju, leżakują w kartonach, stoją na półkach w kuchni, dowcipnie naśladują koszyczki, czajniki, dzbanki, w pokojach okupują wszelkie meble, parapety okienne. Stoją nawet pomiędzy porcelaną rodową. Żona już dawno pogodziła się z hobby męża. Nie przeszkadza jej to, że pieski są obecne w ich życiu. To ona podarowała mu pierwszego psa.

Pan Zbigniew w młodości kolekcjonował znaczki pocztowe. Miał już dość poważny zbiorek o znacznej wartości. Niestety, zniszczyły się. Podczas jego nieobecności w domu, piękne klasery dostały się w nieodpowiedzialne ręce. Żal młodego filatelisty był ogromny, ale nie próbował już drugi raz tworzyć kolekcji.

Swoje obecne zbiory psów chciałby w przyszłości zostawić córkom, może wnuciom. - Kolekcjonerstwo, obojętnie jakie, pozwala żyć pełnią życia - mówi. - Poprzez zbieractwo poznaje się kulturę i dzieje swojego miejsca zamieszkania, kraju. Często kolekcjonerowi nie obca staje się kultura innych narodów. Zbieractwo nie musi pochłaniać wielkich wydatków, choć bywa kosztowne. Na przykład takie stają się kolekcje obrazów, broni. Zbierać i kolekcjonować można na wiele sposobów i możliwości. Zawsze jest to coś bardzo pożytecznego - odskocznia od codzienności, stresu. Daje wewnętrzny spokój i odprężenie.

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk**

# e dzieje Antoniego Dmocha



Tematem jego malarskich prac są przede wszystkim pejzaże i architektura Pomorza: Gdańska, Słupska, Ustki, Lęborka, a także podśląskich wsi: Swołowa, Gardyny, Smołdzina, Kluk, Dębiny. Krajobrazy okolicy wyznaczają obszar zainteresowań i artystycznych poszukiwań a ich malarski zapis świadczy o rzetelnym warsztacie twórczym Antoniego Dmocha.

„Dziś, gdy za dzieło sztuki może uchodzić (...) obieranie kartofli w salonach prestiżowych galerii, trudno, coraz trudniej jest stawiać dobre rzemiosło jako elementarny warunek ubiegania się o przyjęcie do gildii artystów” - pisze Kazimierz Nowosielski w książce „Galeria. O wybranych malarzach i malarstwie współczesnym” (Pelplin 2008). Malarstwo Antoniego Dmocha jest znakiem rzemieślniczej perfekcji nobilitującej go do miana artysty. Jego prace poza wyborem tematu, wpisującym autora w krąg kronikarzy „malowanych dzieł Pomorza”, zadziwiają i zachwycają precyzją rysunku, pieczołowitością obrazu brył i detali architektonicznych. Przestrzennymi relacjami kształtów, nasyceniem barw wyznacza

perspektywę. Niewielkie rozmiarem prace wykonane techniką dyktowaną tematem i malarskim spojrzeniem świadczą o umiłowaniu klasycystycznych reguł harmonii w przedstawianiu świata. Wyważona kompozycja, wyciszone barwy, starannie dobrane i rozłożone elementy rytmu sprawiają, że malarski opis miejsc wydaje się sposobem ich obrony przed przemijaniem. Zatrzymane na obrazach chwile spotkań artysty z materią malarskich obiektów wyrażone kreską piórka, ołówka czy delikatnego dotknięcia pędzlem emanują spokojną czułością i ciepłem.

Mijamy codziennie w pośpiechu miejsca, ulice, stare zabudowania. Przechodzimy obok, dostrzegając czasem urok krajobrazu, ale przemija ów obraz, pozostawiając tylko wrażenie. Obrazy Antoniego Dmocha zatrzymują chwilę, nasycają ją światłem, wydobywają piękno pochylonej szachulcowej stodoły, drewnianego płotu, wiejskiej drogi (Wies Swołowo, 2000).

Autor akwael przedstawiających widoki z siedzibą Starostwa Powiatowego w Słupsku, skromny, ale twórczy emeryt

Fot. Archiwum

te obrazy zatrzymują chwilę, nasycają ją światłem



Fot. Archiwum

wojskowy brał udział w plenerach malarskich w kraju i za granicą. Plenier z 2006 roku w Möln w Niemczech przyniósł dorobek w postaci prac wykonanych techniką akwareli, lawowania, grafiki, których tematem są urokliwe uliczki, malownicze budynki i pejzaże gościnnego miasteczka w okolicy Lubeki. Antoni Dmoch był również uczestni-

kiem tegorocznego międzynarodowego pleneru malarzy nieprofesjonalnych Śladami Maksa Pechsteina, który odbył się w sierpniu tego roku w Łebie.

Prace artysty były wystawiane od 1997 roku w Słupsku i Möln, a Muzeum Pomorza Środkowego wydało katalog wystawy „Antoni Dmoch. Radość Obrazowania”. Wydawnictwo jest świetnym dopełnieniem promowanego w ostatnim czasie w Słupsku albumu Eddy Gutsche: „Malarze, miejscowości i widoki Pomorza Zachodniego w pierwszej połowie XX wieku. Część 1.” (Wydawnictwo Jasne. Pruszcz Gdański 2010.) Album zawiera mapy, reprodukcje

# Piękne i imponujące, lecz

Zabytkowe zamki, rezydencje i dwory, często otoczone parkami, posadowione w historycznych centrach miejscowości wyznaczają postrzeganie pomorskiego krajobrazu kulturowego. Ich różnorodność architektoniczna i ilość jest imponująca. Naliczono ich w województwie pomorskim 239 (M. Kozak: Dwory, pałace i zamki - kosztowne pamiątki czy zasób w rozwoju [w:] Studia Regionalne i Lokalne Nr 2(32)/2008). Różnią się usytuowaniem, rysunkiem architektonicznym, kubaturą, dawną i obecną funkcją, wreszcie stanem zachowania. Aby przetrwać, muszą zaistnieć jako ważny i trwały element kultury regionalnej i wpisać w świadomość lokalnych społeczności, gotowych zadbać o ich utrzymanie. Coraz częściej w powszechnym myśleniu o pamiątkach przeszłości przeważa nowe spojrzenie. Nie traktujemy ich niechętnie czy wręcz wrogo jako dóbr upamiętniających inną niż piastowska i polska kulturę. Polityczna stabilizacja, obecność w Unii Europejskiej tworzą nową perspektywę i możliwości.

Wyrazem nowego spojrzenia na cenne, ale i kłopotliwe ze względu na koszty utrzymania świeckich zabytków architektonicznych jakimi są dawne rezydencje, jest wydany w 2011 roku przy wsparciu środków Starostwa Powiatowego w Słupsku i merytorycznym Towarzystwa Opieki nad zabytkami Oddział w Słupsku - album „Pałace i dwory ziemi słupskiej”. Pomysłodawcą publikacji jest Zbigniew Babiarczyk, autorem zdjęć Jan Maziejuk, tekstu i komentarzy przy fotografiach Stanisław Szpilewski. Albumowe wydawnictwo imponuje pieczołowitością przygotowania merytorycznego w trzech wersjach językowych (polskiej, angielskiej, niemieckiej), wprowadzając odbiorcę w skomplikowaną historię ziemi słupskiej i zachęcając do podróży przez wsie, w których okiem obiek-

*Nowe spojrzenie na architektoniczne zabytki wyraża się nie tylko odkrywaniem ich piękna i historii*



tywu znanego fotografika patrzymy na piękne, imponujące, lecz często opuszczone rezydencje. Jan Maziejuk (przejechał w krótkim czasie ponad siedemset kilometrów) fotografuje obiekty w poetycki, wzruszający sposób, pokazując ich piękno wkomponowane w przestrzeń jesiennego parku tak, by ukryć znaki okrutnego czasu i odczytać jednocześnie myśl architekta zapisaną w detalach i elementach trwałego wyposażenia. Wymowna i niemal symboliczna jest jesienna scenografia i niewy-

powiedziane pytanie - czy to tylko znaki odchodzącego czasu, czy też niewykorzystane dziedzictwo, zasoby godne nowych funkcji - hotelowych, muzealnych, kulturalnych, publicznych lub innych. Przeminał przecież czas, kiedy zamki pełniły funkcje obronne, pałace były siedzibami najzamożniejszych właścicieli ziemskich, a dwory były ośrodkami majątków, na ziemi słupskiej najczęściej junkierskich. Dotrwały naszych czasów jako architektoniczne dokumenty historii i stylów. Cenne, szcze-

prac, fotografie i biogramy malarzy Pomorza w dwujęzycznym - polskim i niemieckim układzie. Książka prezentuje sylwetki dwudziestu czterech twórców, między innymi Maksa Pechsteina, Paula Kuhfussa, Otto Priebe i ich prace, także te, które przepadły. W indeksie miejscowości znajdziemy Gardnę Wielką, Smołdzino, Łebę, Słupsk, Ustkę Zaleskie i inne. To historia pisana pędzlem. Szkice i obrazy przedstawiają znane widoki, ulice, budowle. Te, które ocalały i których już nie ma. Zaletą wydawnictwa jest wskazanie miejsca „pobytu” dzieła. Sporo prac znajduje się w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. To cenna

publikacja, do której warto zaglądać jak do leksykonu.

Antoni Dmoch idąc „śladowi” dawnych malarzy regionu, przedstawia własne widzenie świata przede wszystkim w sposobie malowania. Nie podąża za modą, daleki jest od ekspresjonistycznych obrazów Pechsteina, chociaż podejmuje ten sam artystyczny wysiłek malarskiego dokumentowania krajobrazów Pomorza. Jego obrazy pokazują urodę świata w rzeczywistym wymiarze, w harmonii twórcy i malarskiego obiektu, wyznaczając drogę poszukiwania wewnętrznego spokoju wbrew postmodernistycznym trendom.

Wybór regionalnego tematu prac okazuje się sposobem artystycznej dokumentacji materialnej kultury Pomorza i budowania lokalnej świadomości. Ożywiona dyskusja o wartościach kultury regionalnej, kultury małych ojczyzn i szeroko pojętego dziedzictwa na trwałe weszły do codziennego słownika Polaków. Zawiązują się inicjatywy kulturalne, powstają stowarzyszenia osób pragnących budować lokalną tożsamość. Malowane dzieje Antoniego Dmocha na trwałe wpisują się w kulturę i postrzeganie urody Pomorza.

**Czesława Długoszek, Objazda**

# często opuszczone rezydencje

gólnie na Pomorzu, gdzie asymilowały się przez wieki wpływy wielu kultur europejskich, w tym polskiej.

W albumie „Pałace i dwory ziemi słupskiej” autorzy przedstawili 47 obiektów, łącznie z najcenniejszym - Zamkiem Książąt Pomorskich w Słupsku, siedzibą pomorskiego rodu Gryfów. Przebudowę zamku książęcego w Słupsku realizowano prawie równolegle ze szczecińską. Budowla wzniesiona wg projektu Wilhelma Zachariasza, który zrealizował tu znacznie skromniejszą niż w Szczecinie rezydencję, ale ze wszystkimi cechami nowego stylu, łącznie z klatką schodową w wieży przyległej do fasady, jest dziś siedzibą Muzeum Pomorza Środkowego. Zamek w Słupsku dzięki swej niewielkiej skali w sposób znaczący oddziałł na podejmowane przebudowy siedzib rycerskich na przełomie XVI i XVII wieku.

Nie wszystkie obiekty pałacowe i dworskie powiatu słupskiego znalazły miejsce w publikacji. Nie znajdziemy tu informacji o dworach w Machowinku i Machowinie, Gąbinie, Smołdzinie i kilku innych. Znamy je natomiast z funkcji publicznych, jakie obecnie pełnią. O szczegółowe informacje nietrudno. Odnajduję w Internecie Katalog polskich zamków, pałaców i dworów w układzie regionalnym. Obok historii obiektu, informacji o stanie obecnym dostępna jest dokumentacja fotograficzna współczesna i archiwalna. Zdjęcia nie mają smaku fotogramów pana Maziejuka, ale są wystarczającym przekazem. Docieram też do stron niemieckich (Pagel), by skonfrontować informacje.

Uzupełniam wiedzę o pałacu w Łubczewie prezentowanym w albumie „Pałace i dwory ziemi słupskiej” na stronie 66. Układ stron według alfabetycznego spisu miejscowości ułatwia poszukiwania, chociaż indeks miejscowości i nazwisk w ambientnym wydawnictwie z pewnością byłby przydatny. Na zdjęciach Jana Maziejuka lu-

buczewski pałac prezentuje się przepięknie w jesiennej scenerii nasycionych barw, wśród porośniętych bluszczem olbrzymich konarów.

Ostatnim przedwojennym właścicielem majątku był Eberhard von Braunschweig. Znano go jako antyfaszystę, za co był szkanowany i wielokrotnie aresztowany. Ostatni raz po zamachu 20 lipca 1944 roku. Dlatego nie bał się wkroczenia Rosjan. Czekał na nich w domu. Pijani żołdaci rozstrzelali go wraz z żoną i najbliższymi. Przy wszystkich zastrzeżeniach do wiedzy z prywatnych stron internetowych można, a czasem trzeba z nich skorzystać. Rozumiem teraz przekaz zawarty w tekstowym opracowaniu Stanisława Szpilewskiego: „Przeprowadzony, z konieczności w skrócie, przegląd wybranych rezydencji znajdujących się w powiecie słupskim potwierdza nie tylko skomplikowaną historię tych ziem i ich powiązania kulturowe z Europą, ale również indywidualne tragedie wielu ludzi mieszkających tu przed laty (...)”.

Pałac czy dwór był w każdej niemal wsi Hinterpommern lub inaczej Tylnego Pomorza, a współcześnie rzecz ujmując Pomorza Zachodniego, czyli wyłonięnego z wojny trzydziestoletniej zakończzonej pokojem westfalskim obszaru tzw. Pomorza Przedodrzańskiego, którym na 270 lat zawładnęła brandenburska linia Hohenzollernów. Po zgonie Bogusława XIV, ostatniego Gryfity, wujka Ernesta Bogusława księcia Croy, także Słupsk wyniszczony wojną, kontrybucjami, zarazami, pobytom wojsk szwedzkich i pruskich szukał swej szansy. Jednak dopiero w końcu XVII wieku, po ustabilizowaniu sytuacji polityczno-gospodarczej w okolicy zaczęły powstawać pierwsze bogate siedziby szlacheckie. W architekturze pomorskiej tego czasu dominowały wpływy szwedzkie i holenderskie z charakterystycznymi zwartymi bryłami budynków przykrytych dachami kopertowymi. Jako przykłady po-

służyć mogą pałace w Łupawie (nie zachowany), czy istniejący do dziś w Warcinie koło Słupska. Pałac z 1664 roku, rozbudowany po ponad stu latach i później na przełomie XIX i XX wieku z pewnością może być wizytówką ziemi słupskiej. Autorzy albumu „Pałace i dwory ziemi słupskiej” prezentują go na stronach 96-101, pokazując na rozkładanych fotografiach monumentalne piękno dawnej rezydencji Żelaznego Kancelarza Otto von Bismarcka. Dziś wzorowo utrzymany pałac i park jest siedzibą Zespołu Szkół Leśnych.

W wieku XVIII i do ostatniej ćwierci XIX w., po zwycięstwie Prus nad Francją, na Pomorzu bardzo intensywnie rozwija się budownictwo rezydencjalne w ukształtowaniach przestrzennych polegających na sytuowaniu pałacu na wzór francuski, pomiędzy dziedzińcem a ogrodem. Później dziedzińce przed fasadami rezydencji bywały na ogół obudowywane obiektami gospodarczymi o wyszukanej formie architektonicznej. Z kolei ogrody rozwinęły się w rozbudowywane z niewielkich parterowych założeń do kilku lub kilkunastohektarowych parków krajobrazowych. Taki układ przestrzenny ma majątek w Objeździe prezentowany w albumie na stronach 78 - 79. Ernest Kutscher w roku 1897 zakończył budowę istniejącego do dziś pałacu z cegły na kamiennym fundamencie. Mury otynkowane i pokryte naczółkowym dachem. Od północy bryłę pałacu zamknięto trzykondygnacyjną wieżą, nakryto ścietym czterospadowym dachem, wyposażono w drewniane schody z pięknymi tralkami. Pałac znajduje się na terenie ponadhektarowego parku z rzadkimi okazami drzew, a obok posadowiono okazałe zabudowania gospodarcze. Onegdaj majątek stanowił prawdziwe centrum gospodarcze okolicy. Ostatnią panią majątku była Käte Kutscher z domu von Ehlert. Jej symboliczny nagrobek znajduje się na przykościelnym cmen-

pałace były siedzibami najzamożniejszych właścicieli ziemskich

tarzu na wprost pałacu. Obecni właściciele wykorzystują budynki gospodarcze w zmienionej funkcji, a pałac ciągle czeka na restaurację.

W II połowie wieku XIX dzięki koniunkturze w industrializujących się i modernizujących Niemczech, a także dzięki polityce subsydiowania wielkiej niemieckiej własności ziemskiej w ramach Kulturkampfu powstały liczne, choć niewielkie dwory na Pomorzu Środkowym i Zachodnim. Znajdziemy w albumie ich fotogramy prezentujące m.in. dwory w Duninowie (s. 44), Sierakowie (s. 87), Strzelinie (s. 92).

Tylko nieliczne z prezentowanych w albumie obiektów są w dobrej kondycji. Większość czeka na życzliwych i zasobnych opiekunów. Publikacja sponsorowana przez Starostwo Powiatowe w Słupsku przedstawia stan zasobów, jakimi dysponuje ziemia słupska. Nowe spojrzenie na architektoniczne zabytki wyraża się nie tylko odkrywaniem ich piękna i historii. Rozumienie znaczenia kultury jako czynnika rozwoju gospodarczego zyskuje zwolenników. Niestety, rzadko albo wcale takie myślenie znajduje odbicie w dokumentach opisujących strategię rozwoju obszarów wiejskich. M. Kozak z Uniwersytetu Warszawskiego w cytowanej na wstępie pracy pisze: „Ani słowa o pałacach czy dworach nie ma w projekcie strategii rozwoju turystyki na lata 2007 - 2013”. Bez życzliwego doradztwa merytorycznego i strategicznego wsparcia finansowego instytucji unijnych, państwowych i samorządowych nie uda się podnieść z ruiny wielu zabytkowych obiektów. Liczenie tylko na prywatnych właścicieli może zakończyć się klęską, jak historia pałacu w Wytowni. Okazały budynek poniemieckiego majątku ziemskiego w czasie wojny stał się miejscem niemieckiego obozu dla robotników przymusowych, a pod koniec wojny w pałacu, dawniej siedzibie Bandemerów, stacjonowali radzieccy oficerowie. Powojenne dzieje pałacu mogłyby być same w sobie ciekawą historią. Obecnie wiekowy budynek, będący własnością prywatną, popada w ruinę, bo jego właściciel wyjechał za granicę, pozostawiając dobytek na pastwę losu. Po śmierci właściciela sytuacja prawna obiektu jeszcze bardziej się skomplikowała.

Album „Pałace i dwory ziemi słupskiej”, poza wartościami artystycznymi fotografii Jana Maziejuka, poza refleksją historyczną pana Stanisława Szpilewskiego, pokazuje także pozytywne przykłady prywatnego mecenatu. Najważniejsze jednak, że publikacja wprowadza istotny temat ochrony dóbr kultury do świadomości społecznej.

**Czesława Długoszek, Objazda**  
„Pałace i dwory na ziemi słupskiej”, Wydawnictwo „Unigraf”, Bydgoszcz 2011. Publikacja przygotowana we współpracy ze Starostwem Powiatowym w Słupsku i Towarzystwem Opieki nad Zabytkami, Oddział w Słupsku.

Góry uczą nas odpowiedzialności i dają niesamowite poczucie wolności

# Kochamy zielono

Jesień już nadeszła w pięknej barwie, a w Tatrach widoczna jest szczególnie. Dynamicznie zmieniające się stany pogody przypominają kalejdoskop całorocznych klimatycznych zjawisk. Słoneczne kolorowe dni jesieni w południe często przypominają upalne dni lata, a jesień już istnieje, tuż po zimie i pierwsze przymrozki. W tym czasie słychać rykowsko karpackich jeleni, które odbijają się echem po górach. Rano w schronisku, kiedy się budzimy, witają nas pierwsze znamiona zimy. Śnieg cienką warstwą pokrywa okolice i po chwili zaczyna się powoli topić, a potem spływa, zasilając sezonowe wiosenne strumyki. Jest to pora roku, w której mamy przegląd całorocznej aury. To tutaj skomplikowana i chimeryczna natura ludzka pobiera energię i ma wszystko, czego potrzebuje do psychicznego i fizycznego rozwoju człowieka.

Dlatego chodzimy po górach i kochamy nasze Tatry. Wrażenia zmysłowe udziela się każdemu turyście, kiedy patrzy w różne strony świata i podziwia na początku zarysowane strzeliste groźne szczyty oraz obłe wyniosłe wierzchołki. Kiedy spogląda na łańcuchy górskie - opadające stokami i patrzy na niżej położone doliny, stawy i kotły usiane rumowiskiem skalnym piargów - wtedy podąża na ich spotkanie, chce nasycić wzrok i nakarmić swoją duszę. Wtedy rodzi się potrzeba chodzenia po górach. Podejmujemy maksymalny wysiłek, aby zdobyć nasze najwyższe szczyty: Rysy, Świnicę, Orlą Perć i inne, czasem nawet ryzykujemy życiem. Ale czy po Tatrach chodzimy dla wyszukanych wrażeń i niespełnionych marzeń? Na pewno chodzimy w pełni zachwyty dla majestatu gór. Czy nie jest to również nasza ucieczka do wolności? Wolność jest dana każdemu, ale często jest pozorna, obciążona realiami życia codziennego. Ta prawdziwa jest zupełnie inna. W górach wszyscy są równi i wyzwoleni od szarej rzeczywistości. Chodzimy po Tatrach, bo imponują nam

swoją wielkością, majestatem, a jednocześnie uczą pokory, cierpliwości i szacunku.

Tatry jako wysokie góry odbierane są jako areopag i siedziba bogów. Wyrażamy nasze zamiłowanie do antycznej kultury i nawiązujemy do analogicznego greckiego Olimpu. Tu oglądamy teatr przyrody. Widownia amfiteatralnie rozmieszczona ogląda spektrum wielkich zjawisk. Zmieniająca się aura pogody raz pokazuje wychylające się promienie słońca, a zaraz potem otaczają nas ciemne, szybko nadciągające chmury, które za chwilę przykryją wierzchołki gór. Gęstniejąca mgła odcina kontakt ze światem i wprowadza nas w metafizyczny świat.

Zjawiskiem charakterystycznym dla pogody tatrzańskiej jest wiatr fenowy, zwany halnym. Jest to wiatr lokalny, bardzo silny, w porywach przekraczający prędkość pięćdziesiąt metrów na sekundę, ciepły i suchy, wiejący z kierunku południowego. Tatry to piękna natura i niepowtarzalna



*Tatry imponują mi - są dla mnie wyniosłe, i dzięki, takie polsko-patriotyczne, za każdym razem inne. Odciskają się na moim charakterze, przy każdej „pogodzie ducha” następuje moja ponowna odnowa. Jest to szczególnie reinkarnacja na duchu i ciele. Zapominam o codziennych troskach, staję się fizycznie wyzwolony, a wszelkie cierpienia z nizin są wynoszone na wierzchołki i tu*



# ne Tatry

Fot. Archiwum

unikalna przyroda. Mamy tu typową budowę geologiczną charakterystyczną dla gór tzw. fałdowania alpejskiego. Możemy podziwiać poszczególne warstwy skalne, leżące na sobie pod różnym kątem nachylenia, a czasami ułożone pionowo. Budowę geologiczną Tatr stanowi granitowy trzon krystaliczny, na którym spoczywają sfałdowane i przemieszczone skały osadowe i metamorficzne. Osobliwa rzeźba zmienia się nieustannie - ze zboczy osypują się skały, widać erozyjny wpływ wody płynącej, wiatru, śniegu i lawin. Interesującym przykładem rzeźby są tzw. zjawiska krasowe, w wyniku których powstały jaskinie. W polskich Tatrach poznano ich sześćset pięćdziesiąt. Wielką atrakcją tatrzańskiego krajobrazu są też liczne jeziora pochodzenia polodowcowego, zwane stawami. Największe z nich to Morskie Oko o powierzchni 34,5 hektara. Najgłębsze - Wielki Staw Polski ma głębokość ponad 70 metrów.

Kochamy zielone Tatry, które zbliżo-

podróże intelektualne - dlaczego chodzimy po górach i kochamy nasze tatry?

ne są do roślinności alpejskiej. W zależności od wysokości i zmieniających się warunków klimatycznych wykształciły się poziomy: regiel dolny i górny, oraz piętra: kosodrzewiny, hal i turni. Piętro regla dolnego jest najbardziej kolorowe jesienią, poprzez przebarwiający się liście występujących gatunków drzew: buka, jaworu, lipy, jarzębiny. Nadają one szczególnie urok krajobrazowi gór. W strefie górnej granicy lasu, obok dominującego świerka rośnie pięcioigłowa sosna limba - chroniony gatunek. W Tatrach bytują gatunki endemiczne oraz reliktowe, jest to roślinność rzadka i unikalna. Świat zwierząt tatrzańskich liczy osiem tysięcy gatunków, najbardziej charakterystyczni przedstawiciele tej fauny to kozica, świstak i niedźwiedź. W błękicie nieba można zobaczyć rzadkiego w Polsce orła przedniego i sokoła wędrownego - ptaki te posiadają tu swoje ostoje.

Chodzimy po górach ze względów poznawczych i kulturowych. Pierwsze historyczne wyprawy w Tatry były organizowane w połowie i pod koniec XIX wieku. Wyprawy wysokogórskie stanowiły w tym czasie swoisty ceremoniał podczas przygotowania i kilkudniowego pobytu w górach. Ich organizatorem był Tytus Chałubiński - polski lekarz, odkrywca Zakopanego. Był on również współtwórcą Towarzystwa Tatrzańskiego i jednym z pierwszych badaczy przyrody tatrzańskiej. W wyprawach uczestniczył legendarny góral Jan Krzeptowski-Sabała, gawędziarz i skrzypek grający na gęślikach. Wyprawy były specjalnie przygotowane i nawiązywały do tradycyjnych geograficznych ekspedycji. Stanowiły przyczynek do eksploracji gór. Wyprawa trwała kilka dni i składała się z określonych osób towarzyszących turystom i badaczom. Byli to tragarze, uczestnicy orkiestry góralskiej, kucharze, budowniczowie szałasów. Każdorazowe wyjście w góry stanowiło sensację dla miejscowej ludności, ponieważ Tatry były jeszcze nieznanne, nie odkryte i nie miały jeszcze wyznaczonych szlaków.

Wielcy odkrywcy Tatr, badacze, miłośnicy, taternicy i zasłużeni górale spoczywają na cmentarzu na Pęksowym Brzysku w Zakopanem. Tam jest zapisana historia tych gór i Zakopanego. Intensywna penetracja gór i turystyka przyczyniła się do powstania schronisk, szlaków i określonego zagospodarowania terenu. W konsekwencji Tatry stały się ogólnodostępne i popularne, a obecnie w wyniku wzmożonego ruchu turystycznego wymagają bezwzględnej ochrony. Powstały Tatrzański Park Narodowy spełnia oczekiwania społeczne i stara się w sposób zrównoważony udostępniać góry turystom i zachować piękno przyrody dla następnych pokoleń. W wędrownkach po Tatrach spotykamy na Rusinowej Polanie pasterstwo górskie, tzw. wypas kulturowy owiec. Obok w szalasach wyrabia się oscypki, bryndzę, bunc i żentycę, które stanowią produkty regionalne.

Pozostaje jeszcze zacytować tekst z pustelni św. Brata Alberta z Kalatówek, który odpowiada na nasze pytanie, dlaczego chodzimy, po górach? - „Góry oczyszczają, wymagają oczyszczenia. Góry oczyszczają z egoizmu i samolubstwa i zarozumialstwa i pychy. Góry stanowią wspaniały teren zdobywania. Góry uczą szukania, uczą cierpliwości, wierności w szukaniu, oczyszczają z egoizmu, gdy trzeba się dzielić kawałkiem chleba, czy kostką cukru lub gdy trzeba rezygnować z własnych planów, by ratować drugiego często nieznanego człowieka. Człowiek gór nie jest ten, który umie i lubi chodzić po górach, ale ten który potrafi żyć w dolinach. Człowiek czuje się jak karzeł wobec ogromu gór i gdy poznając samego siebie, swoje wnętrze, swoje możliwości, swoją niewystarczalność zdobywa krok za krokiem, jedną z najcenniejszych cech ludzkich - pokorę, która zdobyta w górach potem owocuje w dolinach. Właśnie wtedy, kiedy na pytanie - po co chodzisz po górach - jesteś zakłopotany i nie wiesz co masz odpowiedzieć. To właśnie wtedy dajesz dowód, że szukasz nieznanego!

Chodzimy po Tatrach w każdym wieku, gdy się w górach zakochamy i stają się one dla nas amokiem, narkotykiem i pasją. Tatry uwalniają nas od problemów dnia codziennego, dostarczają nam przeżyć w sposób niezwykle w kontaktach z naturą i z niepowtarzalnymi zjawiskami przyrody. Pokonujemy również nasze słabości, mamy pokorę i dystans do wyniosłych gór. Jesteśmy w górach inni, wrażliwi na współuczestników korzystających ze szlaków górskich. Pozdrawiamy każdego turystę słowami „Dzień dobry” lub staropolskim „Szczęść Boże”. Przechodzimy szybką naukę dobroci, a wykładnia uszlachetniającego humanizmu ma wymiar praktyczny. Patrzymy na godność człowieka przez nabyte w górach człowieczeństwo. Góry uczą nas odpowiedzialności i dają niesamowite poczucie wolności.”

**Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**

samoczynnie znikają. W swoim sercu noszę tęsknotę za górami. Mieszkam daleko od moich gór - nad morzem i za każdym razem długa rozłąka nie daje mi spokoju. Pozostawiam więc melancholijne morze i mknę do moich zaczarowanych, czasem niebezpiecznych, a tak pogodowo dynamicznych wierzchołków górskich - tatrzańskich szczytów i otulających chmur. Góry wyzwalają we mnie niesamowitą energię, bo muszę je pokonać - zdobyć, zgodnie z zasadą, co w wyniku wysiłku powstaje, to dłużej się pamięta. Zdobywać cokolwiek z nakazu osobistego, wewnętrznego, to znaczy kochać z nieuleczalnym, istniejącym uczuciem. Kocham góry - im dłużej je znam to coraz bardziej tęsknię za nimi, często wracam, aby się nasycić i być lepszy dla ludzi i Boga. Osiągam wewnętrzną równowagę, spokój i radość życia.

Góry stały się moją pasją i ucieczką do krainy dziecięcych czarów, do siedziby elfów, gnomów i leśnych ludków. Widzę je kolorowo, wyzwalają we mnie różne uczucia - raz artystyczne, to znowu heroiczne, a tak prawdziwie konfrontacyjne. W górach nie tylko się sprawdzam, ale mam odpowiedź, jaki faktycznie jestem, co we mnie głęboko siedzi. To jest też moje zawsze nowe odkrycie i refleksyjne patrzenie na życie. Piszę moje pamiętniki - „Na pograniczu gór i nieba, czyli mieszanina faktów i uczuć”. Zamieszczam moje wspomnienia ze spotkaniami ludźmi gór. W górach groźnych, gdzie wspólne przeżycia zbliżają do siebie osoby - w ogóle sobie nieznane, gdzie następuje samoistna integracja ludzi w pokonywaniu trudności w walce z żywiołem gór i gdzie istnieje nasza wspólna miłość do gór, tam istnieje pełne nasze człowieczeństwo.

**Włodzimierz Lipczyński**

# Objawienia w Schio

*Matka Boża ukazywała się jako „Królowa Miłości” i przekazywała orędzia dla świata*

Już drugi raz odwiedzili nasz region przedstawiciele Ruchu Apostolatu Świeckich z Schio z diecezji Vincenza we Włoszech. Ruch powstał w wyniku objawień Matki Bożej, która ukazywała się jako „Królowa Miłości” mieszkańcom Schio - Renato Baron. Ukazywała mu się w okresie od 25 marca 1985 roku do 2 września 2004 roku i przekazywała orędzia dla świata. Bliższe dwadzieścia lat trwały te objawienia w Schio i Renato Baron odebrał około tysiąca orędzi, które Matka Boża poleciła mu

spisywać i ogłaszać światu. Fakty te zostały sprawdzone przez biskupa diecezji Vincenza, który udzielił zezwolenia na ich publikację. Obecnie oceną objawień w Schio i zebraną dokumentacją zajmuje się Święta Rzymska Kongregacja Doktryny Wiary.

Stolica apostolska ma zawsze dystans do wszelkich objawień i wymaga dużo czasu do podjęcia ostatecznych decyzji. Przykładem są znane objawienia w Medjugorje, mimo wielkiego ruchu pątniczego i dużego uznania, do dzisiaj przez Kościół nie zostały

one jeszcze uznane i wymagają projekcji czasu. W Schio objawieniom towarzyszyły wyjątkowe sytuacje na pograniczu rzeczywistości zjawisk i metafizycznych działań, do dzisiaj nie rozstrzygniętych też przez naukę. Do najważniejszych należą „niewyjaśnione zapachy” pojawiające się od 13 listopada 1986 roku. Dotyczą one określonych miejsc i przedmiotów związanych z kultem religijnym. Jednym z takich przedmiotów jest krzyż znajdujący się w pokoju modlitewnym domu Renato, który wydziela zapachy. Zapach ujawnia się również z głowy i ran Jezusa przybitego do tego krzyża. Podobny zapach wydziela ceramiczna figura Maryi, znajdująca się w tym samym pokoju co krzyż. Zapachy wydzielane są również przez figurę Matki Bożej Różańcowej w kościele San Martino. W kolejnych latach zaczęły się wydzielać zapachy z krzyża wykonanego z dwóch gałęzi akacji, znajdującego się na drugiej stacji Drogi Krzyżowej. Zapach pojawia się również z wody tryskającej z małego źródła. Kolejnym miejscem wydzielającym zapachy o różnej woni - łagodnej i intensywnej jest ogród różany koło dzwonnicy kościółka San Martino. W wyniku tych wszystkich okoliczności towarzyszących objawieniom wielokrotnie

Fot. J. Maziejuk

Cokolwiek napiszemy, cokolwiek przeczytamy, jest oceniane obowiązującą moralnością, kanonem czy konwencją. Nigdy - prawdą! W tej sytuacji piszący jest z miejsca zaszufladkowany - „dobry” lub „zły”. Nigdy - uczciwy! A przecież „To w naszych wadach i upadkach, a nie w zaletach spotykamy się z drugim człowiekiem i odnajdujemy wzajemne zrozumienie”.

Znany wszystkim Wojciech Młynarski, w którejś wierszowanej wypowiedzi konkludował, że jeżeli spotkamy na swej drodze bandytę z nożem, to żeby móc się przed nim obronić, powinniśmy mieć - dwa noże! Pojmowanie „dobra” lub „zła” często wydaje się zabawne. Jakby to określił równie ceniony przeze mnie Anatol Ulman - człowiek, to „krętać prawdą”. Wszyscy tworzymy własne mapy rzeczywistości, także przekonania i hierarchię wartości. Określają one, co jest dla nas ważne, a wszelkie konflikty zaczynają się wtedy, jeśli utrzymujemy, że to, co ważne dla nas, powinno być także ważne dla innych.

Od lat słyszymy pobożne deklaracje, przed którymi wypadałoby tylko klęczeć. Wynika z nich, że niepotrzebne są mi nawet kieszenie (na pieniądze), tylko kij pielgrzymi. Dziś tylko jemu ufam! Wykładnia rozumienia wolności nie może być jednak narzucona, bo kłóci się to z logiką. Ustalmy jednak dla „świętego spokoju” i „krakowskim targiem”, że moja prawda, wolność, miłość i wiara, kończy się tam, gdzie zaczyna się prawda, wolność, miłość i wiara dru-

## *Miłość - mocą (w) czyli miłość ci wszystko*

*Po cichu myślę sobie, że żony po kilkudziesięciu latach małżeństwa - same i dobrowolnie powinny opuścić mieszkanie*





krzyż i figury świętych wydzielają zapachy, a z oczu Dzieciątka Jezus wydobywają się łzy

przeprowadzano analizy laboratoryjne na fragmencie krzyża i w środowisku wzdłuż Drogi Krzyżowej. Badania naukowe i zebrany materiał wykluczyły zawartość jakiegolwiek substancji chemicznej, a jednak zapachy ciągle są wyczuwalne.

Odrębnym znakiem miłości Boga były objawienia związane z płaczem Dzieciątka Jezus. W wieczniku modlitewnym

znajduje się malutka statuetka Dzieciątka pochodząca z Betlejem. W dniu 28 grudnia 1987 roku z oczu tego świętego Dzieciątka zaczęły wydzielać się łzy. Wydzielały się przez blisko pięć godzin. Po raz drugi to samo objawienie miało miejsce 31 grudnia 1990 roku. Statuetka Dzieciątka Jezus znajdowała się w specjalnej kołysce i przechowywana była w jednej z gablot wiecznika. Wtedy płacz trwał ponad trzy godziny. Ostatnie objawienie związane z płaczem Dzieciątka Jezus miało miejsce 4 maja 1993 roku. Przebywający w kaplicy pielgrzymi zauważyli, że cała twarz Dzieciątka zaczęła wydzielać jakby krople potu, a faktycznie były to łzy płynące z oczu, spadające na poduszkę. Jedna z nich wyglądem przypominała perłę. Wielu z obecnych pielgrzymów przy tym nowym „znaku” było zdumionych i poruszonych, widząc uwidocznione niebiańskie zjawiska.

Renato Baron otrzymał dar przyjmowania objawień i przekazywania kolejnych orędzi, na podstawie których powstało dzieło miłości jako Apostolat Świeckich. Utworzyła się grupa dziewięćdziesięciu sześciu mężczyzn, która podjęła się dzieła głębokiej odnowy kościoła poprzez powrót do podstawowych zasad religii. Re-

nato Baron zmarł 2 września 2004 roku, po siedmiu latach ciężkiej choroby połączonej z wielkim cierpieniem.

Obecnie ruch Apostolatu Świeckich rozszerzył się na kraje europejskie i pozaeuropejskie. Na przykład biskup z Ngong ustanowił Królową Miłości jako opiekunkę Kenii. W Niemczech - szczególnie w Bawarii powstały grupy modlitewne i odbywają się sukcesywnie rekolekcje i dni skupienia.

W październiku tego roku przybyli do Słupska przedstawiciele tego ruchu w osobie następcy wizjonera - Mirko Agerde - prezesa świeckiego ruchu Królowej Miłości, Polaka Marka Dąbrowskiego mieszkającego we Włoszech i Bawarczyka - Alfreda Osterhubera. Gości zaprosił ksiądz dziekan Jerzy Wyrzykowski z Duninowa. Orędownicy ruchu Apostolatu Świeckich przybliżyli na spotkaniach w lokalnych kościołach i w szkołach na lekcjach religii objawienia i przesłania Matki Bożej - Królowej Miłości. Przedstawione przez apostołów orędzia mają głęboki sens refleksyjny i religijny. Ruch ten podjął również dzieła pomocy ludziom ubogim, realizując wielki projekt miłosierdzia: budowy domu pomocy społecznej, hospicjum oraz domu zwiastowania.

**Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**

# Wrażenia, ko wypaczy

giego człowieka. Faktem jest, że Wolność i Kobiety są - nieosiągalne! Jednakże dla takich wartości „nie żal i żyć, nie żal i umierać”. My, mężczyźni czujemy się wolni. Właśnie dlatego oddaliśmy się w niewolę tym marzeniom. Porzucmy też złudzenia, że to my wybieramy i zdobywamy kobiety. Trudno też zaprzeczyć, że jesteśmy tylko postumentami takich wartości, jak: wolność, miłość i kobiety.

Przykrym zaskoczeniem za mojego życia staje się tzw. trzecia płeć. Mężczyźnienie dziewcząt i kobieceństwo mężczyzn powoduje też nowe zjawisko - płci kulturowej. To płeć myląca na przykład pracę z zatrudnieniem, leśniczego z myśliwym, a polskie myślenie z polskojęzycznym porozumiewaniem. Taka nijaka mentalność powoduje też, że niektórzy panowie świetnie czują się w zawodach kobiecych. Swoją wolność widzą tylko w tańcu wyzwolonym ma wzór Isadory Duncan, i w wirze swoich doczesnych uciech. Z lektury „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego przydaje im się tylko „Chocholi taniec”. Zamiast kontynuować tradycje ojców i ojcowizny - swo-

je pola uprawne odsprzedali na pola golfowe. Pozbyli się też stada krów, a krowie mleko zastępują krowkami i ptasim mleczkiem. Niebo, to oni odczuwają tylko - w głębie. Nie - w Ojczyźnie!!! Teraz mają wczas pod gruszą. Przedłużone. Dla porządku tylko dodam, że grusza - nie jest kolejnym filarem ZUS. Kochane to dzieci! Dobrze, że to nie moje!

\*\*\*

Meksykańskie porzekadło mówi, że dom opiera się nie na ziemi, ale - na kobiecie. Cóż - my, to nie Meksyk. O tym kraju wiemy tyle, ile z tekstu rodzimej piosenki „Meksykana”. („...to jest taniec, to rumba bez słów...”). Jestem osobą terminalnie chorą na wszechobecną hipokryzję i jakikolwiek marketing (ideologiczny, handlowy czy religijny). Nikt też, pomimo odwiecznych deklaracji nie może mi ulżyć w cierpieniu słuchania kłamstw i interesownych życzeń. Klepanie sloganów o miłości bliźniego przybierać zaczęło już formę bezbożnego bluźnierstwa. W tej sytuacji emigrowałem wewnętrznie i zostałem „Sam, ze sobą na sam, najlepiej się mam”.

Żalił mi się kolega (podobny do mnie emigrant wewnętrzny), że jego żona po latach małżeństwa - przypominała sobie raptem o Panu Bogu i coraz częściej przebywała poza domem. Jak wygrać z taką konkurencją? - pytał. Jej pobożne nogi (określenie poety ks. Twardowskiego) przemierzały kraj wzdłuż i wszerz do osławionych miejsc kultu. W międzyczasie też nie próżnowała.

Ćwiczyła - nordic walking! Zwierzał mi się (jak na spowiedzi), że kochał ją zawsze i leciał do niej z pracy jak na skrzydłach. Nieestety, ona zwykle była szybsza. Posługiwała się - miotłą. Żeby ją odnaleźć, pozostawał mu już tylko - lot w górę. Jak Ikar. Cóż z tego, skoro wzrok nie ten.

Zmieniła się - mówił. Zaczęła bardzo dbać o swój wygląd zewnętrzny. Choć ubiór skutecznie maskował jej tuszę, podejrzalem ją kiedyś, jak próbowała się gimnastykować. (A mówi się, że od przybytku głowa nie boli). Tyle lat cieszyłem się życiem, a teraz wystarcza kilka dni z nią, żeby mi życie obrzydło. A tak wogóle, do rzeczy - kłął pod nosem - to ona mówi tylko wtedy, gdy otworzy szafę. A niech to wszyscy diabli - narzekał. Wziąłem ją jako „pensjonarkę”, która w osiedlowym maglu zakładała opozycyjną partię (w końcu lat siedemdziesiątych). Swoje ideologiczne poglądy z determinacją realizowała przy trzepaku. Tłukąc trzepaczką w dywany, krzyczała „a masz!... a masz!...”. Rekompensowała sobie w ten sposób swój wrodzony kompleks niższości intelektualnej. W swoim robotniczo-chłopskim stylu chciała wejść do Europy. Teraz w rubryce „zawód”, podaje - przy mężu. Nawet teściowa odważyła się wchodzić do mojego domu!

Osamotniony, coraz częściej sięgał po kieliszek, papierosa i do lodówki. Stał się wkrótce - kompulsywnym palaczem, alkoholikiem i żarłokiem. Te niezamierzone wcześniej nałogi, wywołały dodatkowe uzależnienie - stał się niewolnikiem seksu i miłości. Chorobę tę definiuje i pomaga przezwyciężyć Wspólnota św. Augustyna

SLAA - Sex and Love Addicts Anonymous, tj. Wspólnota Augustyńska, Anonimowych Uzależnionych od Seksu i Miłości.

Pierwotny i wrodzony nałóg miłości wyzwoliły w nim rządę, którą określił poeta, mówiąc: „Czemuś zabił dziewczynę w ogrodzie? Ja jej nie zabiłem. Ja ją kochałem”. Przestał się też do niej modlić, bo - jak wiadomo - „modlitwa, to jest rozmowa z kimś, o kim wiem, że mnie kocha”. Okazuje się, że w człowieku jest miejsce i dla Boga, i dla szatana. Wprawdzie sąsiadów się nie wybiera, ale każdy przyzna, że zabawne to sąsiedztwo. A może to tylko upragniona i osiągnięta ustrojowo zasada wolnej konkurencji? Zwolennikom prawa własności powiem tak: Panowie - reformatorzy, wy nie kochajcie tak deklaratywnie Pana Boga. Wy się Go - bójcie! Nie wystarczy stosować zasadę Panu Bogu świeczkę, a diabłu - ogałek...

Uświadomiłem sobie ze zdziwieniem, że jestem w podobnej sytuacji, a w moim magicznym domu również doskwiera mi samotność. Ożeniłem się z miłości, żona - z rozsądku. Nie była jednak zbyt rozsądna, skoro do tej pory nie może wymodlić mi pobytu w niebie. Chociaż chyba coś wskórała, tylko podała niedokładny adres, bo „odszedł” - sąsiad! Wiadomością ta śmiertelnie zraniła moją duszę, choć ta podobno jest nieśmiertelna. Dostałem eksmisję do drugiego pokoju. Żona też eksmisję! Nie chce nawet uczestniczyć w charytatywnej akcji „Podziel się kromką chleba”. (Ze mną oczywiście). Planuje wyjeżdżać do wschodnich sąsiadów, także do krajów egzotycznych, żeby nieść jedyną prawdę objawioną. I nieważne, że naruszać tym będzie - cudzą wolność, cudzą kulturę, cudzą wolną wolę, cudzą religię, tradycję i tamtejsze rozumienie świata.

Uzurpowanie sobie prawa i monopolu na „prawdę” jest zaprzeczeniem tolerancji. Zamiast poszerzać własne granice tożsamości, także terytorialne, (poziom), lepiej popracować nad własną duchowością i myśleć wzwyż (pion). Faktem jest (i nie wiem, czy to jest w porządku), że nieświadome niemowlę dorodzi owijają zaraz w jakąś narodową flagę i przydzielają mu z urzędu religię. Faktem też jest, że jest to ordynarna manipulacja na istocie nieletniej. Ingerowanie w cudzą wolność do uczciwej przyjemności nie należy. Nie daje ludziom szans na decydowanie samemu o swym własnym życiu, tym bardziej że żyjemy w świecie nie tylko wielokulturowym, ale i - wieloreligijnym.

\*\*\*

Tak jak w „Historii muzyki” jest najmniej muzyki, tak w historii małżeństwa - najmniej bywa miłości. Choć pozostała mi do przećwiczenia ponad połowa Kamasutry, przyszło mi się leczyć i z tej namiętności. (czyt.: Wspólnota Augustyńska SLAA). Tylko czy ja wyglądam na masochistę? Po-

została mi muzyka. Właściwie, muzyce zawdzięcza życie cała moja rodzina. (Była wielka powódź. Uratowaliśmy się dzięki temu, że rodzice płynęli na kontrabasie, ja z bratem - na wiolonczeli i wiosłując skrzypcami, a siostra - na mandolinie).

W naszym małżeństwie życie też toczy się wokół terminów muzycznych. Żona traktuje mnie wyłącznie „instrumentalnie”. Jestem dla niej - fujarą lub cymbałem. Do osób trzecich mówi o mnie - gamoń. Pewnie dlatego, że często ćwiczę gamy i pasaże. Ona zna tylko jedną nutę - zapachową. W drogerii. Jej gama, to schody w pasażu handlowym. Sama też jest muzykalna. Gra na szklankach, talerzach, kociołkach i kotłach. Ja osobiście cenię się wyżej muzycznie i nieśmiało sugeruję żonie „Czarodziejski flet” Mozarta. Bo miłość nie zna granic, nawet - przyzwoitości. Jestem - mówię jej - „Totus Tuus” (Cały Twój). Zrewanżowała mi się też łąciną, ale - kuchenną. W końcu też - taką mamy miłość, na jaką zasługujemy.

Kiedy żona wyjeżdża na jakąś eksmisję, objawia się moje natręctwo muzyczne. Gram „Dla Elizy” Beethovena. Wprawdzie inaczej ma ona na imię, ale i ja też nie Beethoven, choć łączę nas coś wspólnego - postępująca głuchota. Zwykle używam tonacji: pic - moll, lub kac - dur. Żeby okazać manualną sprawność „Elizie”, postanowiłem wykonać wirtuozowski numer - walc Des - dur F. Chopina, zwany - minutowym (z uwagi na czas wykonywania). Jej recenzji - po wykonaniu tego minutowego utworu - nie rozumiem. - To był najmiłszy kwadransek w moim życiu - odrzekła. A tak się spieszyłem, bo niebawem miała wrócić moja żona. Nie ma zbrodni doskonałej. Choć pozytywnie zdałem „test prawdomówności”, to jej „wariograf” wykrył prawdę. Zdradził mnie zapach perfum „Być może” pani „Elizy”. Po cichu myślę sobie (wracając do miłości małżeńskiej), że żony po kilkudziesięciu latach małżeństwa - same i dobrowolnie powinny opuścić mieszkanie.

Dziś, czasem tylko do ucha nuci mi H. Banaszak (mam słuchawki), nigdy kot - Maciej. Takiego kota, to ja nie mam, ale mam - palmę. (Chyba już blisko mi do rajku, bo jak mawiał śp. Jerzy Waldorff: - „Jestem tak stary, że pamiętam jeszcze Pana Boga jak bez brody chodź!”) W każdym razie, swoją palmę pierwszeństwa oddaję dziewczynie wyimaginowanej w piosence „Jak to dziewczyna”. A wszystko przez ten instrument („...stare pianino w domu miał i na tym instrumencie grał... mówiła mu, że kocha go, że tylko on, że więcej nikt...”).

I wspomniany kolega, i ja, firmujemy z konieczności tzw. białe małżeństwo. Żyjemy w tzw. czystości, i z tzw. braku laku - zaczęliśmy uczęszczać na konieczne mitingi: AA (anonimowych alkoholików), AŻ (anonimowych żarłoków), a nasze „intymne seanse” z żonami, ograniczyliśmy do poga-

duszek na tematy polityczne. Jeżeli już do czegoś dochodziło, to tylko w samoobronie. Wzięliśmy się za siebie aby czuć się dobrze w sobie. Niestety, mało nas uczęszcza na te wtórne uzależnienia. Wśród znajomych (i nieznajomych) małżeństw dominuje realizacja „pierwotnego” uzależnienia, a do naszych wtórnych uzależnień - mają stosunek „seksualny”. Jednakże, niezależnie od tego, czy się jest „zbocheńcem z nadania”, tzn. poprzez stygmatyzację, czy z „poczucia”, którego źródłem są jakieś wewnętrzne niepokoje, małżeństwu trudno pozostać obojętnym wobec tego faktu. Nawet oficjalna „reglamentacja” zachowań seksualnych, to nieuczciwa dyskryminacja przekonana do „normalności”.

Nie przeszkodziło nam to (po roku uczęszczania) na mitingi - pozbyć się naszych uzależnień. Z radością informuję, że rzuciliśmy picie, rzuciliśmy papierosy, rzuciliśmy obżarstwo i - kompulsywne uzależnienie od miłości i seksu. Teraz - czas na żony!!! Nasze „katharsis” - dokonało się. Okazuje się, że umiejętność życia polega na umiejętności rezygnowania z tego życia. Tylko co nam zostało? Zostać - świętymi. Ambivalentna to perspektywa.

Ktoś powiedział, że „Przyjaciół to osoba, z którą mogę być szczery. Przy nim mogę myśleć na głos”. Z przyjaźni więc dedykuję „ornitologiczny” bilans życia bardzo wielu osób, których to przedstawiła M. Pawlikowska-Jasnorzewska. Wcale nie kłamała, mówiąc:

*„Ptaszek idiota,  
głupszy, niż się zdaje  
strojny barwną krajką,  
głowką jak makówka,  
nieprzyjaciół kota,  
ojciec pięciu jajek,  
z których każde jajko  
pełne jest półgłówką,  
przyparty do drzewa  
pierzem rudosinym  
toczy głośnie swary  
z innym znów kretynem,  
po czym śpiewa, śpiewa  
głupstwa nie do wiary...”*

Uczciwość nie ma metryki, a już w żadnym razie przynależności partyjnej, choć za ideową tożsamość nam płacą. Nie za zwątpienie. Choć stygnę powoli, to nadal nie wiem, o co na świecie trwa walka. Czy jest to walka o pokój, walka o miłość, walka o wiarę, walka o sprawiedliwość, walka o dzieci poczęte, walka o legalizację związków partnerskich, czy tylko - walka o pieniądze?

Siła przyciągania Ziemi jest tak wielka, że próżno się jej opierać. Choć dziś już wiem, że pośmiertnie oskarżony będę o nieumyślne spowodowanie swojej śmierci - na swojej płycie nagrobnej nakazuję wyeksponować epitafium: „Umarłem przedwcześnie, bo - kochałem”.

**Klemens Rudowski  
Ślupsk**

# Zapisy z wędrówek po dawnych rozlewiskach Słupi

*Chlubą dzisiejszych mieszkańców sołectwa Gałęźnia jest licząca bez mała sto lat unikalna elektrownia, nowatorskim sposobem wygospodarowująca „śladową” (39 m) różnicę w poziomie wód Słupi i Jeziora Głębokiego*



Fot. J. Grabowski

**P**odejmowaliśmy już rzeczony temat na łamach Biuletynu. Dla przypomnienia: Chodzi o 43. Rajd pieszy w nieznanie. Którędy? Dość długim (16,5 km), a zarazem fascynującym i malowniczym szlakiem Niepogłędzie - Gałęzów - Gałęźnia Mała; głównie w obrębie gmin Dębica Kaszubska, Kołczygłowy, no i - oczywiście - Słupsk; z bardzo żywymi po dziś dzień, dodać warto, tradycjami kaszubsko-słowińskimi. Zainicjował tę arcyciekawą imprezę - poprzez Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne „Rowokół” w Żelkowie - później I prezes Klubu Turystów Pieszych „Mikołajek” przy słupskim Oddziale Regionalnym PTTK, Jerzy Brosz. U progu obecnej dekady „ster rządów” we wspomnianym klubie przejął liczący około trzydzieści pięć lat, tryskający inwencją i energią „młodzieżowiec” Jacek Grabowski. Wraz z grupą swoich rówieśników (Paulina Kizlich, Nata-

lią Kowalczyk, Łukaszem Marszałkiem i in.) kieruje on odtąd tytułowymi wędrówkami po rozlewiskach rzeki Słupi, jak również po przylegających do niej - jeszcze bardziej może ciekawych i uroczych - zakątkach Łupawy. Efekt? Coraz więcej młodych (ale nie tylko!) słupszczyzan, hobbistów regionoznawstwa. Liczby, które mówią same za siebie: przed rokiem na łupawskim szlaku od Czarnej Dąbrówki do Gardny Wielkiej było ich 267. Tej jesieni w Niepogłędzie, skąd wiodła dalsza część kilkugodzinnej eskapady via Gałęzów - Gałęźnia Mała, zjawili się aż 352 fanów turystyki pieszej ph. „Poznajemy nieznanie”. Przy okazji - dodatkowe wymowne szczegóły: i jeden, i drugi rajd ze wspólnym ogniskiem i pieczeniem kiełbasek, konkursem wiedzy o Pomorzu Środkowym, zdobywaniem odznak PTTK, wojażami po Parku Krajobrazowym „Dolina Słupi” etc. Wszystko za... 4 - 7 złotych.

Garść ciekawostek na temat rajdowej trasy 2011, wynotowanych ze „Słownika historycznego miast i wsi w Słupskim” (publikacja Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich; autorki: Alicja Świetlicka, Elżbieta Wisławska) oraz „Szlaków turystyki pieszej w regionie słupskim” - przewodnika pod redakcją dr. Albina Orłowskiego z Akademii Pomorskiej.

Niepogłędzie. Średnia obszarowo wieś w gminie Dębica Kaszubska nad jeziorem Niepogłędzkim. Datująca się od początku XV stulecia włość Zitzewitzów, a z upływem czasu (XVII w.) Puttkamerów. Jedyne zachowane do chwili obecnej relikty tamtej, szlacheckiej przeszłości: piękny pałac z 1864 i - zespół dworskich wybudowań folwarcznych. Kilka słów więcej na temat byłej siedziby ww. ziemiaństwa. Między dwoma jej skrzydłami - ośmioboczna (!) wieża. Główne wejście w formie... żeliwnych, łamanych schodów dwubiegowych (cyt. za konotacją architekta). Najcenniejsze i najciekawsze z ocalałych „detali” wnętrza: wspaniały neobarokowy kominek oraz fantastycznie wprost przyozdobione drzwi z herbami Puttkamerów (powinowały młodzieńczej i trochę późniejszej miłości twórcy „Pana Tadeusza” - Maryli Puttkamerowej z domu Wereszczak?) i bogatymi ornamentami roślinnymi. Te ostatnie jawią się doprawdy żywą symboliką otoczenia - parku krajobrazowego z mnóstwem unikalnych okazów starych drzew, wyrosłych tam już w XVIII wieku!

Gałęzów. Osada wiejska sąsiadująca z Niepogłędziem, położona nad małym i mniej niż tamtejsze wziętym jeziorem Kuninowskim. Z dłuższą (datowaną na rok 1286 jako „uposażenie dla klasztoru w granicznym Białobuku”), ale za to skąpą dla zainteresowanych historią. Od 1432 lenno von Zitzewiczów, w szczytowym okresie rozwoju (koniec XVIII w.) - cyt. kronikarza - „folwark, karczma i razem jedenaście dymów w kształcie owalnicy”. Do dziś przetrwała i jedyną atrakcją turystyczną stanowi wzniesiona AD 1833 rezydencja Adolfa Zitzewitzów, a z chwilą śmierci „wszechpana Cassubii” Jesco von Puttkamera. Bez przesady: perła architektury!

Gałęźnia Mała. Wieś na tzw. Równinie Słupskiej, trzydzieści jeden kilometrów od Bytowa (ściśle gm. Kołczygłowy), przy zaporowym jeziorze Konradowo, rzec by się chciało: w samym sercu Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi”.

Z innych ciekawostek. Posesja o klasycznej strukturze „drogówki” (bardziej fachowo: miniulicówki). Własność, non stop w przeciwieństwie do Niepogłędzia i Gałęzowa, rodu Zitzewitzów. Założyciel tej linii Jarisław (!) w miejscu swych grodzisk wyżywnych kultury łużyckiej ze starszej epoki brązu (sic) upatrzył sobie nową, „podziw konkurentów budzącą” wioskę. Tak też się

później stało. W 1784 roku był w Gałążni ogromny folwark z równie wielką, wzniesłą cegielnią i kuźnią oraz „przyległościami”: folwarkiem Julianenhof ze sporą owczarnią i kolonią Friedrichsthal, zasiedlonymi w sumie przez chłopstwo aż z czterdzieści osiem dymów.

Chlubą dzisiejszych mieszkańców nie tylko wspomnianego sołectwa jest licząca (od I wersji projektu) bez mała 100 lat unikalna elektrownia, iście nowatorskim sposobem wygospodarowująca „śladową” (39 m) różnicę w poziomie wód Słupi i Jeziora Głębokiego. Dzięki potężnej zaporze, zbiornikowi, rurom przepływowym i turbinom uzyskała ona w roku 1920 moc 3,5 MW, stając się największym zakładem energetycznym w całej Polsce Północnej, a jednocześnie wzorcowym wprost przykładem bardzo efektywnej po dziś dzień myśli konstruktorskiej.

Co jeszcze przyciąga tam oko turysty? W pierwszym rzędzie resztki dawnej świetności. Na przykład porośnięte lasem bukowym i okolone masywnym wałem ziemnym (w sąsiedztwie... rowu o głębokości dwóch metrów) prastare grodzisko w kształcie podkowy, a także rozległy (48 x 30 m) i doskonale zachowany majdan. Z nowszych zabytków: dwór - mural z XVIII wieku i upiększający go park, dwie śliczne kaplice (wiejska i cmentarna) z roku 1887.

Ani chybi, mnóstwo atrakcji. I to wśród prawdziwych, rodzimych cudów natury!

\*\*\*

Jeśli idzie - wreszcie - o gospodarzy, uczestników i laureatów Rajdu. W klasyfikacji zespołowej absolutny prym wiedli podopieczni (96!) Ireny Karczyńskiej ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Słupsku. Dosyć daleko za nimi uplasowali się uczniowie „podstawówek” ze Słupska (nr 2, 5, 10), z Ustki (2), Dębnicy Kaszubskiej i Włynkówka (gm. Słupsk), Gimnazjów ze Słupska (nr 1) i Miastka oraz Zespołu Szkół w Siemianicach (gm. Słupsk). W konkursie krajoznawczym, ściślej wiedzy o Parku Krajobrazowym „Dolina Słupi”, wyróżniły się najmłodsze bractwa SKKT ze słupskiej dziesiątki (opiekunka Beata Szabat), piątki (op. Karolina Machutta-Gałązka, Anna Wolikowska, Piotr Ceranowski) i dwójki (op. Mateusz Pakuła); pośród starszych zaś - miastczanie (op. Irena Kiedrowska, Wioleta Piotrowska) oraz dziewczęta i chłopcy z Siemianic (op. Agnieszka Kujawska, Magdalena Lis).

Serdeczne gratulacje dla wszystkich, z organizatorami (J. Grabowski, Seweryn Falkowski, Piotr Koszutowski, Michał Nielub, Karol Piekac) 16,5-kilometrowego marszu wzdłuż i wszerz „Doliny Słupi” włącznie. Za ich pośrednictwem odnotowujemy też z satysfakcją duże wsparcie udzielane rajdowiczom na każdym kroku przez dyrekcję Parku Krajobrazowego, co wszak - przyznać trzeba - nieczęsto się zdarza.

**Jerzy R. Lissowski, Słupsk**

*Niewielki kościół w małej wsi Podwilczyn, wciśnięty w szereg wiejskich zabudowań, wyróżnia się odmiennością budowli. Paradoks kolonizacyjny wizjonerstwa osadniczego króla Prus Fryderyka Wielkiego, który rozpoczął się dla tej osady w latach 1748 - 1752 dotknął obszar dziewiczy Puszczy Łysomickiej*

## Dwa kościoły



**W**podobny sposób wybudowano około dwustu wsi, głównie na Pomorzu i na Śląsku. Niekiedy te osady umiejscawiano na nieużytkach - tak było w jurysdykcji domeny miasta Stolp (Słupsk). Należy wyłonić następujący aspekt obejmujący losy pierwszych chłopskich rodzin, przypuszczalnie zwierzbowanych w liczbie szesnastu. Znamienny jest fakt obecności w wiosce kilku żołnierzy z pułku Bellingschena gotowych wymóc na osadnikach spłatę zaciągniętych wcześniej zobowiązań, na wyraźną prośbę kolonistów od egzekwowania długu odstąpiono, jednak nie wiemy, na jak długo. Drugim, co do znaczenia faktem, był absurdalny w swej istocie pomysł osuszenia jeziora

Rybiec w celu powiększenia areálu łąk do wypasu bydła, co groziło poważnymi konsekwencjami utraty wody pitnej dla ludzi i zwierząt. Zniechęceni pozostawiali zagrody i wyjeżdżali często pod osłoną nocy, nie mogąc udźwignąć ciężaru nałożonego podatku. Do końca nie wiadomo, jakie były proporcje początkowej fali osiedleńczej we wsi Podewilshausen, czy więcej było rodzin z Polski, czy Meklemburgii i Szwecji. Gdyby teoretycznie przyjąć, że rzesza ludzi rozkładała się po równo, to ilu z Polaków wchłonął walec germanizacji, a ilu oparło się i kultywowało polski język i tradycję. Niemieckojęzyczne źródła historyczne nic na ten temat nie piszą, traktując wszystkich jako poddanych króla. A tym ludziom, jak

również naszym powojennym osadnikom należy się szczególna pamięć za pracę jaką wkładali w utrzymanie tych ziem, a za którą nie doczekali się do tej pory, chociażby skromnej tablicy pamiątkowej.

W ogólnie dostępnych informacjach internetowych, publikacjach Jolanty Nitkowskiej-Węglarz i szerszych opracowaniach B. Czerwińskiego („Słupsk i okolice”), i M. Bończa-Bystrzyckiego („Kościół katolicki na Pomorzu Zachodnim 1871 - 1945”), widnieją zapisy mówiące o tym, że... „na polecenie rajców domeny Słupskiej we wsi Podewilshausen wybudowano szkołę i kaplicę”. Potwierdzenie tych informacji znajdujemy również w znanym dziele „Der Landkreis Stolp in Pommern” Karla Heinza Pagla, którego fragment dotyczący wsi przetłumaczyła Jolanta Targańska-Kot.

Od pewnego czasu intrygowały mnie opowieści mieszkańców wsi przekazywane z pokolenia na pokolenie o drewnianym kościele lub ściślej biorąc, o czym byłem przekonany do niedawna, kaplicy. W tym celu zwróciłem się o pomoc do instytucji kościelnych i państwowych, a także osób prywatnych, którym jestem za udzieloną pomoc wdzięczny. Chichot losu dręczy tę wieś od początku jej powstania, bowiem to, co napotkamy w niej współcześnie, jest odbiciem tamtych czasów kolonizacyjnych, i jak twierdzą sceptycy, nie posunęła się ona nawet o krok w rozwoju gospodarczym, choć oczywiście tu i ówdzie napotkamy symptomy nowoczesności. Wspomniany paradoks polegał również na tym, iż istniały jeszcze do niedawna wątpliwości, skąd wzięła się nazwa wsi Podwilczyn (Podewilshausen). Dostępne źródła wskazują na etymologię od nazwiska hrabiego von Hariricha Podewilsa, pierwszego ministra w rządzie króla Prus Fryderyka Wielkiego. Znamienne jest, że hrabia von Podewils

nigdy wsi nie widział, odwiedził ją za to i to aż dwukrotnie baron Moritz von Anhalt, czyniąc z pewnością zapiski z przebiegu misji kolonizacyjnej. Natrafiłem również na niecodzienną informację, jakoby nazwa wsi wywodziła się od nazwy (Podwilcze). Przyznam, że znaczenie dwóch nazw wzbudziło we mnie uzasadniony niedosyt. Pomyślnie tej informacji pomylił zapewne położenie geograficzne wsi, sołectkiej Podewils (Podwilcze), usytuowanej czterech kilometrów od Białogardu z wsią Podewilshausen (Podwilczyn), położoną na granicy puszczy Łysomickiej (Loitz) dwadzieścia kilometrów od Słupska. O ile jeszcze niemiecka nazwa ma swoje jakieś logiczne wytłumaczenie, to już polska - niezupełnie.

Przez pewien krótki powojenny okres wieś nazywała się Kotlina i ta nazwa w zupełności odpowiadałaby położeniu osady wśród pomorenowych wzniesień. Nazwa Podwilczyn nijak się nie ma do rzeczywistości, a to dlatego, że nie ma żadnego etymologicznego uzasadnienia. Więcej tam dzików, które pustoszą dziś pola rodziny Pabisiów, niżeli wilków, do których w prostym tłumaczeniu odwołuje się nazwa Podwilczyn.

Napisałem niezliczoną ilość e-maili i za każdym razem otwierała się przede mną szersza perspektywa pojmowania spraw ludności zamieszkujących niegdyś te tereny. Wszystko też opiera się na banalnym „najprawdopodobniej”, bo jak się okaże później, w rzeczywistości tak jest na każdym kroku. To wszystko też w konsekwencji kazało mi przyjąć stanowisko, iż nieszczęsna nazwa wsi z pewnością pochodzi od rodowego nazwiska Heinricha von Podewils, a to wszystko, czego doświadczyłem po drodze, było niejako przekłamanie przekazów historycznych. Jak napisał niedawno w mailu do mnie historyk Wojciech M. Wachniewski - „istniejące źródła napisane są gotykiem, swoistym dla danego okresu, a ponadto dialektem szwabskim, co znacznie utrudnia tłumaczenie”.

Znaczenie tej wsi jako pierwszej w planach osiedleńczych króla Prus Fryderyka Wielkiego, nie jest do przecenienia. Swoisty splendor, a może wygodnictwo władz miejskich miasta Stolp kazało ten obszar (376 ha) poddać swoistej próbie czasu, karłowatniej, uwikłanej w karczunek wszędobyłskiego lasu i zmagających się z przeciwnościami.

Obecny kościół podwilczyński, wzniesiono najprawdopodobniej w 1914 roku, zapewne powstał w przededniu wybuchu I wojny światowej, być może jako wotum dziękczynne w hołdzie społeczeństwu i pruskiej armii lub, co też jest bardziej prawdopodobne, wskutek dużego zniszczenia wcześniejszego ryglowego kościoła istniała nagła potrzeba budowy nowego budynku sakralnego. Jak opisuje „Schematyzm diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej” - „pierwsze wzmianki o ryglowym kościele we wsi Podwilczyn pochodzą z 1777 roku, jego lokalizacja nie jest dokładnie znana”, to jednak, jak utrzymują starsi mieszkańcy wsi (w tym Pani Helena Pabiś), stał on mniej więcej w miejscu dzisiejszego sklepu spożywczego. Z ruin kościoła zabezpieczono organy i przeniesiono dzwon w miejsce dzisiejszej lokalizacji. Również wspomnienia siostr - Elżbiety i Marii Lipińskich zamieszkujących tę wieś do końca lat siedemdziesiątych XX wieku, potwierdzają ten fakt. W latach 1950 - 1960 widziały one ponoć ruiny starego kościoła. Nieopodal był cmentarz, na którym zachowały się żeliwne i marmurowe krzyże z epitafiami pośmiertnymi. Fragmenty ścian kościoła i cmentarza znajdowały się w niedalekiej odległości od ich domu, tuż przed budynkiem szkoły podstawowej.

Co było przyczyną katastrofy budowlanej? Czy do dewastacji przyczyniło się uderzenie pioruna? Bo na taką informację natrafiłem również.

W piśmie archiwum diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej datowanym 5 maja br. wyraźnie natrafiłem na ślad owego kościoła, cytuję „z polecenia konserwatora wojewódzkiego został rozebrany z powodu dużego stanu zniszczenia i zagrożenia, w latach pięćdziesiątych XX wieku”.

Jest więc ten pierwszy budynek sakralny owiany szalem zapomnienia. Istniał naprawdę, nie tylko w ustnych przekazach. Jego istnienie stało się pewnego rodzaju wyzwaniem. Nasuwa się skojarzenie, że ów budynek mógł być rzeczywiście pierwszym z czasów ekspansji kolonizacyjnej wsi w latach 1748 - 1752, a do jego budowy zapewne używano pnie drzew z wykarczowanych lasów. Śledząc podwilczyńską historię dochodzę do wniosku, że tzw. prawdy historyczne mijają się niejednokrotnie. Wielowątkowość poglądów może zaprowadzić poszukiwacza w ślepy zaułek.

Ksiądz Anastazy Nadolny, archiwista Archiwum Diecezjalnego Kurii Pelplińskiej naprowadził mnie na właściwy tor moich poszukiwań. Kościół bowiem od 1992 roku należy do Diecezji Pelplińskiej. I choć nie uzyskałem znaczących informacji, to był on pierwszym, który odpowiedział na mój post. Pan dr Tomasz Katafiasz, historyk, szefujący Słupskiemu Towarzystwu Historycznemu włączył się też w nurt poszukiwań. Przy wydatnej pomocy dr. E. Wiąrowskiego twierdzi, że: „Osadnictwo pradziejowe reprezentowane jest przez dwie duże osady kultury oksywsko-wielbarskiej, z kontynuacją osadniczą we wczesnym średniowieczu (XII - XIII w.). Towarzyszą im małe osady sezonowe lub obozowiska, chronologicznie i kulturowo związane z horyzontem łużycko-pomorskim, oksywsko-wielbarskim i z wczesnym średniowieczem. Z siecią osadniczą związane są dwa cmentarzyska ludności kultury pomorskiej i halsztacki skarb przedmiotów brązowych. Wieś lokowana zapewne w średniowieczu, charakteryzuje się dobrze zachowanym budownictwem wiejskim o konstrukcji szkieletowej. Do ciekawych należą budynki mieszkalne z połowy XIX w. nr 4 i 17. Są to parterowe domy, nakryte dachami dwuspadowymi, założone na planie wydłużonego prostokąta. Prawdopodobnie obecny kościół jest budowlą trzecią z kolei. Z całą pewnością istniał kościół także przed tą datą - możliwe, że to te relikty są pozostałością właśnie po tym wcześniejszym budynku.

Ogólnie należy stwierdzić, że na temat kościoła w Podwilczynie rzeczywiście bardzo mało wiadomo, dokumentów brak, dokumentacji konserwatorskiej także. Być może jakieś poszukiwania w archiwach ewangelickich w Niemczech mogłyby coś wyświecić, ale wielkiej pewności nie ma. Niemcy sami nic o tych starszych kościo-



Fot. Archiwum

łach podwilczyńskich obecnie nie piszą i wspominają tylko w swoich opracowaniach o obecnej budowlu. Od razu po reformacji kościół w Podwilczynie znalazł się w obrębie diakonatu kościelnego miasta Słupska. Analogicznie jak kościół w Dębicy Kaszubskiej należał do synodu w Kołczygłowach, a później do synodu Słupsk Miasto. Był bowiem świątynią filialną parafii pw. św. Jana Chrzciela z Dębicy Kaszubskiej. Obsługiwali go zatem również pastory i księża z Dębicy Kaszubskiej”.

Z powojennej historii kościoła na szczególną uwagę zasługują prace duszpasterskie ks. Czesława Łaszyńskiego, o. ks. mjr. Józefa Płonki, ks. kpt. Antoniego Kani, ks. Mariana Patałasa, i kolejne księży ks. Kan. Zygryda Strokosza, Ireneusza Nowaka, Mieczysława Patałucha i wielu innych nie wymienionych z nazwiska. Na szczególną uwagę zasługuje także bardzo duże zaangażowanie lokalnej społeczności w funkcjonowanie kościoła, w tym w sprzątanie świątyni i przystrajaniu w świeże kwiaty.

W piśmie z upoważnienia Kurii Koszalińsko-Kołobrzesckiej Małgorzata Wieczorkowska odpisuje następująco: „Kościół nie ma zabytkowego wystroju. Poprzednio użytkowany był przez wyznanie baptystów”. Rzuca to nowe światło na proporcje wyznań religijnych mieszkańców wsi. Rodzą się kolejne wątpliwości, bo - jak utrzymuje Karl Heinz Pagel - „wszyscy mieszkańcy byli protestantami”. Nie jest dokładnie znane, dlaczego lokalizacja dzisiejszego kościoła pw. Matki Boskiej Ostrobramskiej, a tuż po wojnie na krótko pw. św. Teresy, jest wciśniętą bryłą architektoniczną w szereg wiejskich zabudowań. Kościoły zazwyczaj sytuowano w miejscach wydzielonych, z reguły na wzniesieniach. Czyżby wznoszono go w pośpiechu?

Schematyzm Diecezji Koszalińsko-Kołobrzesckiej podaje: „obecny kościół jest murowany, stalowy bez wyodrębnionego prezbiterium. Dach dwuspadowy, kryty dachówką. Otwory wejściowe zakończone prosto, podobnie okna. Sufit drewniany prosty, brak chóru muzycznego”. Być może z braku odpowiednich środków finansowych wzniesiono okrojoną wersję budowli. Bliźniaczo podobny kościół, jak sądzę tego samego autora, stoi w miejscowości Rowy. Dramatyzm Podwilczyna polegał właśnie na nieustannej pauperyzacji, bowiem po latach względnego dobrobytu przyszło jego mieszkańcom spłacać długi zaciągnięte na budowę wsi. A ziemia ta zawsze rodziła niewiele, opóźniona wegetacja upraw, małe znaczenie, gospodarcze spycha tę wieś w obszar skansenowatych.

Trudne dzisiaj do odtworzenia losy chłopskich rodzin, domostw i budowli Podwilczyna ulegają naturalnym zatraceniom na skutek braku form pisemnych i śladowych informacji w niemieckojęzycznych źródłach.

**Czesław Kowlaczyk, Słupsk**

# Kapelan zdelegalizow

Pochodził z Kujaw. Urodził się 13 sierpnia 1952 roku w miejscowości Świętosławie w powiecie włocławskim. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości edukację swoją zdecydował się kontynuować na studiach filozoficzno-teologicznych w Wyższym Seminarium Duchownym we Włocławku. Tu 26 maja 1979 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Neoprezbiter skierowany został do pełnienia posługi duszpasterskiej w charakterze wikariusza w parafii w Burzeninie. Następnie, po dwóch latach, do parafii pw. św. Andrzeja w Koninie. Po czterech latach zdecydował się opuścić rodzimą diecezję Włocławską i zaangażować się w pracę duszpasterską na Pomorzu. Od jesieni 1983 roku podjął pracę kapłańską w parafii św. Michała Archanioła w Karlinie. 25 września 1984 roku został skierowany do parafii pw. św. Ottona przy kościele Najświętszego Serca Jezusowego w Słupsku. W 1986 powstała myśl utworzenia samodzielnej parafii w Wieszynie. W jej skład miały wejść Głobino i Krępa, ale ówczesne władze nie wyraziły zgody na jej utworzenie i by ks. Jankowski był jej proboszczem. Parafię w Wieszynie erygowano dopiero 4 sierpnia 1989 roku i z tą samą datą powierzono ks. Włodzimierzowi Jankowskiemu urząd proboszcza. Mieszkając w bardzo skromnych warunkach, stworzył warunki dla jej normalnego funkcjonowania. Zaangażował się ponadto w struktury odrodzonego Wojska Polskiego jako kapelan pomocniczy 28. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Redzikowie. W duszpasterstwie wojskowym pracował do 16 czerwca 1995 roku. Dodatkowo wspólnie z ks. prałatem Janem Gariatowiczem sprawował posługę duszpasterską w kaplicy Klubu Garnizownego 7. Pomorskiej Brygady Zmechanizowanej w Słupsku.

W 2004 roku opuścił Wieszynę i skierowany został do Świdwina, a stamtąd do parafii pw. Matki Bożej Różańcowej w Siemczynie niedaleko Czaplinka. Pracę w duszpasterstwie wojskowym kontynuował jako kapelan pomocniczy 15. Brygady Kawalerii Pancernej w Wędrzynie. Wierni ze Świdwina zapamiętali go jako katechetę zaangażowanego w pracę z młodzieżą i pomagającego proboszczowi przy budowie kościoła. W Siemczynie zasłynął jako ksiądz rzutki i energiczny. Po przejściu na emeryturę w 2009 roku powrócił do Słupska i zamieszkał na terenie parafii Świętej Rodziny. Posługę kapłańską pełnił nadal jako kapelan pomocniczy Sióstr Klarysek od Wieczystej Adoracji przy kościele św. Ottona.

*Ksiądz major Włodzimierz Jankowski zastąpił jako odważny, nieugięty i oddany kapelan zdelegalizowanej „Solidarności”*



Fot. J. Szczepaniak

# wanej „Solidarności”

## Wikariusz w Słupsku i msze św. za Ojczyznę

Środowisko solidarnościowe Słupska zapamiętało ks. W. Jankowskiego jako młodego i energicznego kapłana oddanego w walce o wolność Ojczyzny. W kościele „na górze” przy starym słupskim cmentarzu w ostatnie niedziele miesiąca celebrował msze św. za Ojczyznę. Jeszcze podczas wakacji 1984 roku spotykał się z bł. ks. Jerzym Popiełuszką i koncelebrował z nim mszę św. za Ojczyznę w żoliborskim kościele pw. św. Stanisława Kostki. W Słupsku, stosując w

praktyce zalecenia zawarte w liście Episkopatu Polski do modlitw za Ojczyznę, w każdą ostatnią niedzielę miesiąca regularnie celebrował w tej intencji mszę świętą. Kościół podczas tych mszy wypełniał się działaczami podziemnej „Solidarności”. Postawa ks. Włodzimierza Jankowskiego spodobała im się, ale oburzone jego homiliami ówczesne władze polityczne i państwowe w mieście oraz województwie nie pozostawały obojętne. Kaznodzieja, zdając sobie sprawę, że kościół stanowił ostoję opozycji, a człowiek jako podmiot polityki pozostawał podmiotem Kościoła, nie poddawał się naciskom. Miał również na uwadze nauczanie społeczne kard. Stefana Wyszyńskiego: „Jeżeli obywatel rezygnuje z cnoty męstwa, staje się niewolnikiem i wyrządza największą krzywdę sobie, swojej ludzkiej osobowości, rodzinie, grupie zawodowej, narodowi, państwu i Kościołowi, chociażby był łatwo pozyskany dla lęku i bojaźni, dla chleba i względów ubocznych”.

Przeniesienie ks. Włodzimierza w 1986 roku do nowo utworzonego ośrodka duszpasterskiego w Wieszynie, który wcześniej wchodził w skład parafii pw. NSPJ w Słupsku, sprawiło że środowisko solidarnościowe w każdą ostatnią niedzielę miesiąca gromadziło się na mszach św. za Ojczyznę w Wieszynie. Według ówczesnych oficjalnych opinii kazania głoszone przez ks. Włodzimierza „przedstawiały w krzywym zwierciadle polską tożsamość oraz zmierzały do wywołania wrażenia, iż w kościele znajdował się ośrodek dyspozycyjny, wywierający wpływ na polityczne postawy ludzi”.

Napisy z nazwami zakładów pracy wyryte na kamieniach musiały szczególnie dotknąć ówczesnych decydentów miasta, jeżeli do wojewody słupskiego wystosowane zostały protesty: „Prosimy o wyjaśnienie u władz kościelnych, z czyjego upoważnienia został umieszczony na obelisku wystawionym przed kościołem przy ulicy Obrońców Wybrzeża znak firmowy naszego zakładu. Fakt umieszczenia znaku firmy państwowej bez zgody jej kierownictwa stanowi naruszenie obowiązującego w Polsce prawa i zasad współżycia społecznego. Ma to szczególne odniesienie do art. 52

Konstytucji PRL o oddzieleniu Kościoła od Państwa”.

Ksiądz W. Jankowski wspominał kiedyś, że kazania z tamtego okresu nie ma, ale jeżeli nagrania nie zostały zniszczone może znajdą się w Instytucie Pamięci Narodowej. W swoich informacjach przekazywał je do KC PZPR w Warszawie Wydziału Polityczno-Organizacyjnego KW PZPR w Słupsku. W informacji przekazanej 13 listopada 1984 roku czytamy: „[...] W dniu 11.11 br. w kościele NSJ odbyła się msza w intencji Ojczyzny, wikariusz parafii ks. Jankowski kazanie poświęcił ciągłości walki narodu o niepodległość. Nawiązał do odzyskania niepodległości w 1918 roku, a następnie przeszedł do lat powojennych, zaznaczając, że nie będzie rowodził się nad okresem stalinizmu. Inspirował i namawiał do ciągłej walki o utrzymanie duszą „S”. Przywołał pamięć poległych górników, robotników, kilkakrotnie wracał do więzionych obecnie „braci, którzy cierpią za odwagę noszenia w sercu kształtu Polski niepodległej”. Wznoszono modły w intencji: niedoli i cierpienia, za zabitych górników, za zamordowanych skrycie chłopów, niewinnie skazanych, pobitych, głodzonych, za cierpiących w więzieniach, za ks. Popiełuszkę. Ks. Jankowski zakończył kazanie, wznosząc rękę w geście zwycięstwa i zaintonował „Boże coś Polskę” ze zmienionym tekstem refrenu. Większość zebranych śpiewała, podnosząc podobnie ręce. Nabożeństwo zakończono „Rotą”. Obecnych ok. 600 osób. Przy ołtarzu poświęconym ks. Popiełuszcze zgromadziło się ok. 50 osób, głównie działacze b. „S”. U stóp ołtarza złożono wieniec z biało-czerwonych kwiatów, który po modłach grupa ok. 100-osobowa przeniosła pod pomnik Powstańców Warszawy. Przy wieńcu szarfa z napisem „Piłsudskiego legionom w hołdzie - Solidarności ziemi słupskiej [...]”.

Senator pierwszej kadencji Henryk Grzędzielski w swojej książce „I stało się” pod datą 1 stycznia 1985 roku napisał: „Bardzo budujące ducha były msze św. w intencji Ojczyzny i mocne kazania głoszone przez księdza Włodzimierza. Wspaniały, odważny, skromny i pogodny człowiek. Udział w jego mszach wszedł do obowiązków każdego słupskiego opozycjonisty. Tam czuliśmy się bardzo wolni i u siebie. W ramach wdzięczności za to, co robił dla nas, otrzymał ufundowany ze społecznych funduszy ornat i stułę. Byliśmy dumni, że nasz ksiądz odprawia msze w naszym „ubraniu”. Później został przeniesiony do Wieszyna, jeździliśmy tam do niego prywatnie w odwiedziny i na msze w intencji ojczyzny”.

To ks. Jankowski jako wikariusz w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa przechowywał tablicę wykonaną przez słynnego twórcę orłów i Teatru Lalkowego „Tęcza” Tadeusza Czaplińskiego, a później 24 października 2004 roku wspólnie z przewodniczącym KK NSZZ „Solidarność” odsłaniał pomnik ks. Jerzego Popiełuszki. Pod



pomnikiem mówił: „Tylko nieobecni są nam najbliżsi” - to tyle słów poety. Dziś w takim szczególnym miejscu i w tym dniu w dwudziestą rocznicę śmierci staję księżę Jerzy przed twoim pomnikiem, niemal przy słupskiej Golgocie, gdzie pamiątka tego pozostała tutaj, w tych wmurowanych kamieniach. Jeszcze w lipcu odprawiałem wraz z tobą mszę św. za Ojczyznę na Żoliborzu w 2004 roku. Dziś honor i cześć dla ciebie”.

### Proboszcz w Wieszynie

Następcą ks. kan. Wincentego Lesia na urzędzie proboszcza (1952 - 1985) w parafii NSPJ w Słupsku został ks. Stanisław Goryński (1985 - 1989). Nowy proboszcz wyznaczył ks. Jankowskiego do zajęcia się wyremontowanym przez ks. Lesia kaplicą protestanckim kościołem w Wieszynie. Dzięki usilnym staraniom i wyteżonej pracy ks. Włodzimierza udało się zbudować kaplicę w Krępie. Wcześniej liturgię sprawowano po

domach. Kolejnym wyzwaniem była budowa kościoła w Głobinie, w którym również nie było miejsca odpowiedniego do odprawiania mszy św. i nabożeństw. Wtedy z małego pomieszczenia gospodarczego, znajdującego się na podwórku, udało się zorganizować salę katechetyczną i z czasem, po małej rozbudowie, kaplicę. Ani na jedną, ani na drugą kaplicę nie było pozwolenia.

Pierwsze swoje mieszkanie w nowej placówce zaczął sobie organizować w wieży kościoła. Kiedy wieść ta rozeszła się po wsi, z pomocą przyszedł mu starszy mieszkaniec Wieszyna - „Dziadek”. Na lokum udostępnił część swego strychu. „Były tam prawdziwie spartańskie warunki. Bez łazienki, bieżącej wody, ale mimo to ucieszyłem się, bo przynajmniej byłem wśród ludzi” - relacjonował po latach ówczesnemu szefowi redakcji koszalińsko-kołobrzeskiego „Wierzę” ks. prof. Edwardowi Sienkiewiczowi.

Po 1989 roku przyszedł okres tzw. odwilży. Wówczas na skutek narastających przeobrażeń politycznych, zgoda władz na objęcie przez niego parafii była naturalną kolejną rzeczą. Trzeba dodać, że kościół parafialny w Wieszynie nie był tak czysty i odmalowany jak później. Brakowało w nim odpowiedniego wyposażenia i mszę św. ksiądz zmuszony był celebrować na stole kuchennym, wierni siedzieli na prowizorycznych ławkach. Po 1989 roku dobudowano 1/3 świątyni. Parafia w Wieszynie zasłynęła też z najdłuższej w Polsce procesji Bożego Ciała.

### Kapelan wojskowy

Zasługi ks. mjr Włodzimierza Jankowskiego dla wojska docenił w przesłaniu skierowanym na pogrzeb Biskup Polowy Wojska Polskiego Józef Guzek: „Eksceleńco, Księżę Biskupie, uczestnicy uroczystości pogrzebowej śp. ks. mjr rez. Włodzimierza Jankowskiego. Pragnę wyrazić szacunek i

# Spór o bohaterów



*Po nalocie niemieckich sztukasów ze słupskiego lotniska wieczorem 2 września major Sucharski załamał się psychicznie, a obroną Westerplatte dowodził kapitan Dąbrowski i to on nie dopuścił do przedwczesnej kapitulacji*

Nie z GPS, jak radzi Marcin Barnowski, słupski dziennikarz, autor przewodnika „Twierdza Ustka. Bunkry i ciekawostki militarne” (Ustka 2011), ale z Internetem idę śladem autora, poszukując informacji o Franciszku Dąbrowskim, o którym Barnowski, przychylając się do nowych opinii, pisze na stronach 134 - 135 swojego przewodnika.

Kapitan Franciszek Dąbrowski (rocznik 1904) w 1937 roku został zastępcą Komendanta Wojskowej Składowicy Transportowej na Westerplatte w obrębie portu w Wolnym Mieście Gdańsku. Postawiono przed nim zadanie przygotowania obrony placówki na wypadek wojny. Kiedy Schleswig-Holstein hukiem rozdarł świat 1 września 1939 roku załoga dowodzona przez majora Henryka Sucharskiego podjęła nierówną walkę. Jednak po nalocie niemieckich sztukasów ze słupskiego lotniska wieczorem 2 września major Sucharski, jak pisze Barnowski, „podobno załamał się psychicznie”, a obroną dowodził kapitan Dąbrowski i to on nie dopuścił do przedwczesnej kapitulacji, zapisując się w

„panteonie takich bohaterów, jak Kozieltulski, Skorupka, Raginis...” (str. 33). Po kapitulacji Westerplatte Franciszek Dąbrowski przebywał w obozach jenieckich w Klein Dexten (Stablack, dziś Dołgorukowo), w Prabutach, w oflagu XVIII B w Lienzu oraz w oflagu II C Woldenberg (Dobiegniew k. Krzyża), by po wojnie na nowo wstąpić do wojska. Awansowany (1946) do stopnia komandora porucznika w marcu 1947 roku został przeniesiony razem z jednostką Kadry Marynarki Polskiej do Ustki, gdzie sześcioletni ustecki garnizonowi i, pamiętajmy o czasie zimnej wojny, Usteckiemu Obszarowi Wojennemu, który Marcin Barnowski doskonale opisuje w „Twierdzy”. O osobistym autorytecie komandora i legendzie westerplatczyków niech świadczy taki fakt. Oficerowie 18. Odcinka WOP kpt. kpt. Cieślak i Maksymczuk w czasie akcji zniwnej odnaleźli zakopaną szablę marynarską z napisem Honor i Ojczyzna. Przekazali ją wraz z laudacją „Komandorowi Dąbrowskiemu, bohaterowi z Westerplatte” w Ustce w dniu 1 maja 1947 roku.

uznanie dla zmarłego śp. ks. Włodzimierza Jankowskiego. Od 1993 roku do 2002 roku był on kapłanem pomocniczym 28. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Słupsku - Redzikowie, a następnie kapłanem pomocniczym 15. Brygady Kawalerii Pancernej w Wędrzynie. Dobrze spełniał obowiązek opieki duszpasterskiej nad żołnierzami i rodzinami wojskowymi. Został odznaczony srebrnym Medalem za Zasługi dla Obrony Kraju. Polecam go w modlitwie, prosząc Boga, aby Swemu Wiernemu Słudze dał udział w społeczności zbawionych. W katedrze Polowej Wojska Polskiego za śp. Księża Majora została w dniu dzisiejszym odprawiona Msza św. O jego śmierci i pogrzebie zostali poinformowani księża kapłani Ordynariatu Polowego z prośbą o wspomnienie podczas Mszy św. w kościołach i kaplicach garnizonowych. Wszystkim uczestnikom pogrzebu wyrażam wdzięczność za modlitwę w intencji Kapłana, który

przez pewien czas włączył się w działalność duszpasterską Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego."

Do przedwczesnej emerytury, a następnie do śmierci doprowadziła ks. Włodzimierza choroba. Zmarł na zawał serca w swoim mieszkaniu w Słupsku w godzinach wieczornych 22 sierpnia 2011 roku. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w czwartek, 25 sierpnia br. Przewodniczył im Biskup Pomocniczy Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej Krzysztof Zadarko. W żałobnej koncelebrze współuczestniczyło około pięćdziesięciu kapłanów, wśród których obecni byli księża diecezjalni, zakonnicy oraz kapłani wojskowi. Niezmiernie lubianego, wręcz darzonego sympatią kapłana, proboszcza i katechetę zgłaszały rzesze wiernych z parafii w Słupsku, Wieszynie, ośrodka duszpasterskiego w Redzikowie. Przybyli do Słupska krewni z Kujaw, a wśród nich między innymi matka i brat zmarłego, którym około

roku wcześniej przyszło odprowadzić na wieczny odpoczynek siostrę śp. ks. Włodzimierza. Ojciec Konstanty również uprzedził go w drodze do wieczności. Rys biograficzny i zasługi zmarłego kapłana przedstawił w okolicznościowej homilii ostatni jego współpracownik, kapłan sióstr Klarysek od Wierzyńskiej Adoracji w Słupsku, ks. prałat Zbigniew Regliński.

W luźnej rozmowie mówił przed laty, że może i jego położył kiedyś przy kościele w Wieszynie. Stało się inaczej, pogrzebano go tuż przy kaplicy starego słupskiego cmentarza, po południowej jej stronie, niedaleko kościoła Najświętszego Serca Jezusowego, gdzie był wikariuszem, niedaleko grobu ks. kan. Wincentego Lesiaka i wśród dawnych znajomych ze środowiska solidarnościowego, których Bóg wezwał do siebie przed nim.

**Eueniusz Wiązkowski**  
**Kobylnica**

Córka Franciszka Dąbrowskiego, Elżbieta Hojko-Dąbrowska pamięta, że w grudniu 1949 jej ojca uznano za niepewnego politycznie (mimo że był członkiem PPR) i wydano go ze służby. Wyjechali do Krakowa. Nie otrzymał wojskowej emerytury. W kiosku sprzedawał bilety. Zmarł w niedostatku na gruźlicę w wieku 58 lat w 1962 roku. Został pochowany w Krakowie. Dziesięć lat później ustecka Szkoła Podstawowa nr 2 otrzymała imię Franciszka Dąbrowskiego jako pierwsza w Polsce. W 2010 roku gmach szkoły został zburzony, a tablica upamiętniająca bohatera z Westerplatte przepadła. Tyle w Przewodniku Marcina Barnowskiego.

Szukam informacji, które podzieliły opinie o dwóch bohaterach z Westerplatte. Pierwszą i najważniejszą jest ta, że Franciszek Dąbrowski dwukrotnie publikował informacje o obronie Westerplatte. Po raz pierwszy wspólnie, ze Stefanem Grodeckim („Dziennik Bojowy Westerplatte”, 1945, Wydawnictwo Zarządu Polityczno-Wychowawczego Marynarki Wojennej) i w roku 1957 „Wspomnienia z obrony Westerplatte”. Publikacja wydana przez Gdańskie Towarzystwo Naukowe z przedmową Mariana Pelczera stała się przedmiotem ostrej krytyki. Najogólniej mówiąc, zarzucano Dąbrowskiemu podważanie autorytetu dowódcy.

Natomiast zwolennicy narracji Franciszka Dąbrowskiego byli przekonani, że fałszywy obraz historii obrony Westerplatte utrwaliły pełne błędów faktograficznych książki „Wrzesień zagwiny” i reportaże Melchiora Wańkowicza oraz film „Westerplatte” Różewicza, niesłusznie przypisując Sucharskiemu miano dowódcy obrony. Przekonanie było oparte na twierdzeniu, że przekłamane relacje Sucharskiego i prostych żołnierzy z Westerplatte nie uwzględniały szczegółów, które wydarzyły się w koszarach w ciągu pamiętnych siedmiu dni.

W sporze jasna jest informacja o konflikcie między prostymi żołnierzami i grupą oficerów skupionych wokół dzielnego i bardzo ambitnego oficera Franciszka Dąbrowskiego, świetnie przygotowanego do służby wojskowej, który miał ambicje dowodzenia obroną Westerplatte, choćby z powodu dłuższej służby na placówce. Ponadto był młodszy o czternaście lat od Sucharskiego, którego „przywieziono w teczce”, miał szlacheckie pochodzenie i był wychowany w tradycji wojskowej jako syn przedwojennego generała Romualda Dąbrowskiego

Mjr Henryk Sucharski (1898) był synem szewca, chłopca ze wsi Gręboszów pod Tarnowem. Został przeniesiony na stanowisko komendanta polskiej składnicy amunicji w grudniu 1938. „Myślę, że jako uczestnik I wojny światowej, walk o niepodległość, wojny 1920 roku, mając także doświadczenie dowodzenia w czasie pokoju (w tym w 35. pp.), major posiadał niezbędną wiedzę do dowodzenia składnicą Westerplatte i uważam, że te jego umiejętności oraz walory osobiste (kawaler) zdecydowały o powierzeniu mu tego stanowiska. Gdyby Sucharski nie miał potrzebnej wiedzy, nigdy nie zostałby dowódcą tak ważnej placówki, tym bardziej że pewne było, iż w razie wojny dojdzie tu do nieuniknionego starcia zbrojnego. (...) - Czy zastępca Sucharskiego kpt. Dąbrowski miał też jakikolwiek powód, aby pomniejszyć zasługi majora?” - pyta major Andrzej Szutowicz na portalu www.westerplatte.pl. Za bezwzględnie niedopuszczalne mjr Szutowicz uważa dyskredytowanie mjr Sucharskiego ze względu na plebejskie pochodzenie.

Żołnierze Wojskowej Składnicy Tranzytowej skapitulowali 7 września. Kapitułację przyjął generał major Friedrich Eberhardt, wyrażając uznanie załozdce. Zwrócił Sucharskiemu szablę, którą ten przekazał

z honorami Dąbrowskiemu. Spośród 182 obrońców piętnastu poległo, pięćdziesięciu było rannych (Jarosław Tulisza, „Zanim padły pierwsze strzały”, w: „Polityka” 33/2008). Niemcy stracili trzydziestu żołnierzy, siedmiuset zostało rannych. Sucharskiego przesłuchiowano w Hotelu Centralnym w Gdańsku. Później był więziony w obozach Stablack, Reisenburg, w Oflagu IV A Hohenstein, Oflagu II B Arnswalde i Oflagu II D Gross-Born, po wyzwoleniu którego w 1945 roku Sucharski znalazł się II Korpusie Polskim we Włoszech, został dowódcą 6. Batalionu Strzelców Karpaccich. 30 sierpnia 1946 roku zmarł w brytyjskim szpitalu wojskowym w Neapolu. Pogrzeb odbył się na Polskim Cmentarzu Wojskowym w Casamassima. W 1971 roku ekshumowano szczątki Sucharskiego i przeniesiono na Westerplatte.

W roku 1956 Dąbrowskiemu wypłacono odszkodowanie, otrzymał wygodniejsze mieszkanie. Aktywnie podjął działalność na rzecz Związku Obrońców Westerplatte jako jego główny założyciel. Jego imię noszą w Polsce trzy szkoły. Odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem za Odrę - Nysę i Bałtyk, Odznaką Grunwaldzką i Virtuti Militari V klasy.

Czy oficerski honor, legenda obrońców Westerplatte nie mają żadnej wartości? Co znaczą małostkowe swary wobec patriotycznej legendy obu postaci? Sucharski stchórzył czy, wiedząc, że nie będzie wsparcia, literalnie wykonał rozkaz Rydza Śmigłego przekazany 31 sierpnia przez pułkownika Sobocińskiego? Trwająca w prasie i w sieci dyskusja wpisuje się w odwieczny kanon o sens działań między rozważą a zuchwałstwem, czyli o polskich bohaterach.

Natomiast w książce Marcina Barnowskiego jest wiele nowych tropów, którymi warto podążać, również z GPS.

**Czesława Długoszek, Objazda**

czy oficerski honor, legenda obrońców westerplatte nie mają żadnej wartości?



Koniec 1940 roku i początek 1941 zna-  
czył się chorobami bez względu na wiek.  
W tym czasie masowo chorowaliśmy na  
cynge, krwawą biegunkę, odmrożenia rąk,  
nóg, twarzy, uszu. W 1941 zmarły moje  
dwie młodsze siostry i dziadek. Ja zachoro-  
wałem na kurzą ślepotę i cynge, lewą nogę  
miałem bardzo podkurczoną. Trafilem do

# nie umiera

szpitala w mieście Niandoma. Smarowanie maścią i dieta z cebuli i kapusty pomogły. Po dwóch tygodniach odesłano mnie pod nadzorem na miejsce pobytu do pracy. Wraz z innymi przygotowałem drewno do obróbki piłą tarczową. Znów miałem krwotok z nosa, z ust, odzyskałem przytomność w baraku. Po paru dniach musiałem iść do pracy, bo nie dano chleba, nawet średniej porcji. Nie mieliśmy też możliwości kupienia odzieży. Szyliśmy z worków. Lepszą odzież sprzedawano obozowej władzy, za grosze. Jeśli rodzina nie miała nic do sprzedaży, była skazana na najgorsze. Słabych i chorych przenoszono do jednego baraku. Było to największą tragedią. Szerzyły się zakaźne choroby z powodu brudu, pas-

utrudnienia nie zniechęciły od decyzji wyjazdu. W końcu przyszedł dzień i ta chwila, której od dawna czekaliśmy.

Odwieziono nas na stację, wsiedliśmy do wagonów osobowych i dojechaliśmy do następnej, na punkt zbiorczy. Czekaly już bydłce wagony i kazano nam się ładować. Za okazaniem zaświadczeń z obozu w Sołudze otrzymaliśmy chleb i przegotowaną wodę, na dokumencie odnotowano datę i ilość. Staliśmy na boczniczy całą dobę. Nikt nie sprawdzał czy są wszyscy. Nikogo to nie interesowało. Ruszyliśmy, po dwóch godzinach znów transport postawiono na boczniczy. W pobliżu znajdowały się pola uprawne, widać było ziemniaki, kapustę i warzywa. Kto mógł, biegł na pole. W tym



żyków i gryzoni, a szczególnie szczurów, nawet w dzień potrafiły chorych ugryźć w twarz, a nocą swobodnie spacerowały. Nie było żadnych środków i nikt się tym nie przejmował.

Latem 1941 dotarła do nas wiadomość o wojnie. Enkawudzista w stopniu oficera ogłosił, że Niemcy wydali bolszewikom wojnę. Jesteśmy wolni, bo tworzy się rząd polski. Wszyscy zostali zwolnieni z łagrów i miejsc odosobnienia. Otrzymamy zaświadczenia i możemy wyjeżdżać, ale nie do Polski. Tam są Niemcy. Możemy wybrać w Rosji miejscowość i się osiedlić. Każdy w wieku powyżej lat szesnastu musiał osobiście się zgłaszać. Rodziny wyznaczone do wyjazdu były powiadomione, żeby przygotować pieniądze na bilety dla każdej osoby. Ostatki lepszej odzieży sprzedaliśmy, żeby mieć pieniądze na wykup biletów. Jednak żadne

czasie przypięto parowóz i transport ruszył. Nie zdążyłem dobiec, zostałem. Dowiedziałem się, że następny pociąg będzie na drugi dzień. Ktoś powiedział, że niedługo odjedzie pociąg towarowy, pokazał, gdzie mogą usiąść, żeby nie było mnie widać. Tak zrobiłem. Pociąg ruszył. Usnąłem w wagonie wśród jakichś opakowań i nie wiem, jak długo jechałem. Kiedy się przebudziłem, pociąg stał. Na skróty udało mi się dotrzeć na dworzec, było dużo ludzi, uciekali przed frontem, przeważnie Żydzi.

Zacząłem z kimś rozmowę, do której włączyły się inne osoby. Okazało się, że to była sześciuosobowa rodzina żydowska z Ukrainy. Prosił mnie, żeby im pomóc się załadować do pociągu, oczywiście za zapłatą. Miałem zatem za co kupić chleb na następny dzień. Z nimi dojechałem do Kujbyszewa. Tam również daremnie pytałem o

## KALENDARIUM

**3** listopada w siedzibie starostwa wręczono nagrody laureatom konkursu „Przyroda powiatu w obiektywie”.

**4** listopada w Powiatowym Centrum Pomocy Rodzinie zebrała się na pierwszym posiedzeniu Powiatowa Społeczna Rada do Spraw Osób Niepełnosprawnych. Przewodniczącą Rady wybrano Renatę Wismont.

**11** listopada w Słupsku odbyły się wojewódzkie obchody 93. rocznicy odzyskania przez Polskę Niepodległości.

**18** listopada w Miejskim Gminnym Ośrodku Kultury w Kępicach zorganizowano III Regionalne Konfrontacje Teatralne.

**21** listopada w siedzibie starostwa uroczystości obchodzono Dzień Pracownika Socjalnego.

**23** listopada wizytatorzy Pomorskiego Kuratora Oświaty prowadzili ewaluację w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Damnicy.

**25** listopada w Sali Lustrzanej Pałacu w Damnicy odbyły się X-jubileuszowe Powiatowe Spotkania z poezją Nieprofesjonalną połączone z Powiatowym Przeglądem Poezji Śpiewanej.

**30** listopada w sali starostwa uroczystości wręczono odznaczenia państwowe, przyznane zasłużonym pracownikom starostwa. Odznaczenia wręczył wicewojewoda pomorski Michał Owczarczak.

**5** grudnia w sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej w Kwakowie otwarto wystawę prac nadanych na konkurs „Piękna Polska cała, ale nasza ziemia najpiękniejsza”. (G.Ś.)

transport. Co mam robić? Czy jechać z powrotem, czy ruszać do przodu? Nie wiem i nie pamiętam czy ktoś mi powiedział, czy sam zdecydowałem - pojechałem do miasta Buzułuk.

Wysiadłem na stacji i poszedłem do zawiadowcy. Nic nie wiedział o transporcie. Zauważyłem bufet. Podano mi talerz zupy i kromkę chleba, wskazano pomieszczenie, gdzie mogłem usiąść i zjeść. Niestety, zabrakło mi pieniędzy. Zostałem wyzwany od nierobów i włóczęgów, chociaż przeprosiłem. A wyszło to na moje dobro. Jak mówi stare przysłowie: „Dla człowieka z fraszkiem, Bóg ratunkiem”. Stałem z boku, wtedy zauważyłem polskiego żołnierza. Podszedłem i zapytałem: Czy pan Polak? Tak - usłyszałem - a ty kto? - Jestem Polakiem. Odeszliśmy na stronę, sprawdził moje zaświadczenie i zaprowadził do budynku, w którym mieściła się duża sala, za nią kancelaria. Tam zostałem wpisany na listę poborowych. Pokazano, gdzie mogę się obmyć. Od tego dnia miałem całodziennie wyżywienie. Codziennie przybywali nowi. Spaliśmy w sali na podłodze. Każdy z nas domyślał się, że to było tymczasowe. Dowiedziałem się jednak na dworcu o transport z moją rodziną. Pewnego dnia spotkałem sąsiada z Soługi. Powiedział, że moja rodzina i wszyscy zwolnieni trzymają się razem. To była dla mnie ważna wiadomość. Wróciłem do swoich nowych kolegów. Było mi żal, że nie spotkałem się z rodziną. Pomyślałem, że już mogę się z nim nie zobaczyć. W tym czasie ogłoszono, żeby się przygotować

na następny dzień do łaźni. Trzeba zabrać odzież do dezynfekcji. Zmieniono nam miejsce zamieszkania, dano świeżą słomę. Po dwóch tygodniach wyjechaliśmy. Tak pożegnaliśmy miasto i stację Buzułuk.

Jechaliśmy w kierunku Taszkentu. W przystani Czardzou nad rzeką Amudaria znów przeładunek. Było tu dużo polskich rodzin i wielu zarejestrowanych do wojska. Spotkałem stryja z rodziną. Opowiedział, że po naszym wyjeździe do Soługi przyjechała delegacja wojskowa i zażądano podstawienia wagonów na wszystkich osiedlach w takiej ilości, żeby wszystkie rodziny mogły się załadować. Mogli zostać ci, którzy wyrazili zgodę. Musieli podpisać oświadczenie. Nikt jednak nie chciał zostać. I nie wykupywali żadnych biletów, otrzymali zaświadczenia jako dowód osobisty. Następnego dnia spotkałem większość byłych sąsiadów, którzy, jak pierwsza grupa, otrzymała zezwolenie na wyjazd, jeszcze nie wiedzieli, kiedy to nastąpi. Niestety, swojej rodziny nie spotkałem.

Podstawiono trzy duże barki i kazano się łądować. Rodziny i samotni, wszyscy razem. Po całodziennym postoju przyszedł holownik i ruszyliśmy. Włóczyli nas przez dziewięć dni. Dziesiątego dnia transport dobił do łądu. Kto tylko mógł, wyszedł. W pobliżu były pola uprawne. Wszyscy na te pola! Po arbuzy, dynie i marchew. Co się działo! Wkroczyła milicja, podano sygnał, odholowali nas na środek rzeki i zacumowali. Nigdzie już nie dobił ten transport do brzegu. Zostawiano nas na środku wody



Fot. Archiwum rodzinne

do chwili rozładunku. Wyżywienie dostarczano holownikami. Jedna porcja to 20 dag chleba i pół litra wody lub herbaty. W końcu doholowano nas do brzegu, gdzie oczekiwali nas kołchoźnicy dwukołowymi wózkami zaprzęgniętymi w jednego konia lub osiołka i milicja. Rozlokowano nas po kołchozach w okolicy Gurlen, a następne miasto to Urgencz (Uzbekistan). Rejestracja do wojska stała się nieważna i nikomu nieprzydatna. Każdy poszedł swoją drogą, do pracy. Nikt nie znał języka uzbeckiego, a w tym kołchozie zaledwie dwóch Uzbeków mówi-

# Sowiecki podstęp - bit

*Zamiast zginąć, polscy partyzanci zadali śmierć. Stali się brygadą śmierci dla tych, którzy podnieśli na nich swą broń*





ło po rosyjsku. Każda kolchozowa brygada miała mieszkania, w których zakwaterowano nasze rodziny. Rodzina miała wydzielone jedno pomieszczenie. Zamieszkałem z rodziną stryja. Zrobiono spis i listę zdano do magazynu. Na tej podstawie wydawano ziarno kukurydzy, ryżu, dżugary na potrzeby rodziny. Wszystko trzeba było zrobić ręcznie. Dżugarę zemleć w żarnach na chleb i kluski. Z kukurydzy była mąka i kasza. Ziarno ryżu się obrabiało w ręcznej stępie. Żarna, stępa, piec do wypieku lepiošek, to wszystko było wspólne. Znow za-

chorowałem na kurzą ślepotę. Byłem bardzo osłabiony, ale musiałem pracować.

Pracowaliśmy przy pogłębianiu głównego kanału przy rzece Amudaria. Na nosiakach wynosiliśmy ziemię na wał umacniający. Któregoś dnia ogłoszono, żeby zebrali się Polacy. Jakiś oficer przywitał nas: „Nazywam się Gorajski. Jestem zawodowym żołnierzem w stopniu porucznika”. Skorzystałem z okazji i opowiedziałem, w jaki sposób i kiedy się zgubiłem od swojej rodziny. Wysłuchał mnie i obiecał, że pójdziemy razem do polskiego urzędu. Kiedy tam dotarliśmy, wyjaśnił przełożonym w jakiej sprawie przyszedłem. Niestety, w dokumentach tego biura moja rodzina nie istniała. Po powrocie do kolchozu nadal pracowałem, aby jakoś żyć. Nękała mnie kurza ślepotą. Wreszcie skończyły się prace przy czyszczeniu kanału, zaczęło się przygotowanie do wysiewu bawełny, ryżu, pszenicy, dżugary i kukurydzy.

Wiosną 1942 roku. Pan porucznik podaje wiadomość, że tworzy się Polska Armia na terenach ZSRR. Zgłosiłem się na komisję. Porucznik Gorajski pouczył mnie, że bym się nie przyznał, że jestem urodzony w 1924, lecz podał datę 1922. Po przebadaniu przez lekarzy skierowano mnie do komisji danych osobowych. Wydało się, że nie zgadza się data urodzenia. Zapytano, dlaczego kłamię, że jestem urodzony w 1922 roku. Dlatego, że chciałem pójść do wojska - odpowiedziałem. - Zostajesz do następnego roku, o ile będzie potrzeba - taka była decyzja. Wróciłem do kolchozu. Wkrótce jednak stamtąd uciekłem do miasta Nukus. Z przy-

godami pracowałem w piekarni, restauracji i jako wozak w szpitalu. Czekałem na szansę powrotu do kraju i rodziny.

Na początku maja 1944 roku otrzymałem powołanie na komisję lekarską do wojenkomatu. Otrzymaliśmy z kolegami rozkaz wyjazdu oraz bilety na przejazd statkiem rzeczny i morskim przez Morze Aralskie oraz koleją do punktu zbiorczego w Sumach na Ukrainie, gdzie dotarliśmy po dziewięciu dniach podróży. Każdego z nas przydzielono do innej formacji. Po przeszkoleniu byliśmy w pogotowiu bojowym, stancję mieliśmy w lesie we wsi Leśniczówka. Tam czekaliśmy na rozkaz wymarszu na linię frontu od października 1944 roku do początku kwietnia 1945 roku. Moja pierwsza walka z nieprzyjacielem zaczęła się 16 kwietnia przy forsowaniu Odry i Nysy Łużyckiej. Potem zamiast pod Drezno, dzięki Bożej Opatrzności, dotarliśmy do Pragi czeskiej. O godzinie siódmej rano 9 maja 1945 roku przyszła wiadomość, że Niemcy podpisali akt kapitulacji.

6 marca 1946 roku wróciłem do Podgórza. Data ta szczególnie utkwiła mi w pamięci. Kiedy wszedłem do zrujnowanego domu, zobaczyłem mamę. Nie widziałem jej od ponad czterech lat, nie wiedziałem czy żyje. To był cud!

Po niespełna miesiącu całą rodziną ruszyliśmy na Ziemię Odzyskaną, do Objazdy, gdzie był już nasz tato. Tu założyłem rodzinę i przeżyłem resztę życia.

**Zanotowała:**  
**Czesława Długoszek, Objazda**

# wa pod Radziuszami

W południe 31 stycznia 1944 roku zmotoryzowana kolumna Niemców nie spodziewanie podjechała pod wieś Worziany, w której kwaterowała V Brygada. „Łupaszka” nie dał się zaskoczyć, szybko podejmując trafne decyzje. Wydane rozkazy do obrony, a jednocześnie podjęcie ataku - poprzez udane częścią sił obejście Niemców usiłujących otoczyć wioskę - zdecydowały o powodzeniu walki.

Niemcy zaatakowali bez rozpoznania terenu i ubezpieczenia swoich pododdziałów, najwyraźniej nie spodziewając się na swej drodze tak dużych sił polskiej partyzantki. W Worzianach znajdowało się około 160 ich ludzi. Rozproszone w tyralierę atakujące pododdziały niemieckie, znalazłszy się na odsłoniętej przestrzeni pomiędzy wsią i lasem, dostały się w podwójny ogień polskiej partyzantki.

W bitwie polscy partyzanci stracili 19 ludzi. Straty Niemców znacznie przekroczyły setkę. W bitwie pod Worzianami z dwuosobowego batalionu Niemców

uratowało się tylko kilkunastu tych, którym udało się uciec. Zamiast zginać, polscy partyzanci zadali śmierć. Stali się brygadą śmierci dla tych, którzy podnieśli na nich swą broń.

To była najcięższa bitwa, jaką w czasie II wojny światowej stoczyła brygada „Łupaszki”.

Tamtejsza ludność obawiała się bardzo, że Niemcy po przegranej walce spacyfikują wieś. Wielu gospodarzy, natychmiast po opuszczeniu Worzian przez partyzantów, ukryło się w lesie. Zostali tylko najodważniejsi i starcy.

Niemcy po zabraniu swoich poległych z pola walki, nie odważyli się jednak na pacyfikację wsi. Wiedzieli, że w pobliżu znajdują się partyzanci pułkownika Markowa. Musieli liczyć się nie tylko z odwetem ze strony Polaków, choć i to wystarczyło, gdyż stacjonujące w tym rejonie ich placówki były zbyt słabe, by prowadzić regularną wojnę z polskimi partyzantami. Worziany przecież to potwierdziły.

Niemcy obawiali się także zgromadzonych w tym rejonie licznych sił partyzantki sowieckiej. O tym, że Sowieci przegrupowują się w innym celu niż walka z nimi, nie spodziewali się.

Tymczasem uszczuplone w bitwie z Niemcami i mocno utrudzone nią pododdziały 5. brygady AK maszerowały przez wieś: Turowie, Jasień, Żukojnie, w bardziej bezpieczny teren, by tam próbować wylizać się z ran i zadbać o stan broni i amunicji. Podczas przegrupowania zmarli ciężko ranni „Hermes” i „Fiat”. Pogrzebano ich we wsi Turowie. Pogrzeb był symboliczny, na dłuższy postój nie zatrzymywano się.

Pierwszy krótki postój zarządził dopiero w Jasieni. Antoniego Rymszę „Maksa” rozpoznał tam były żołnierz z jego przedwojennego pułku i poczęstował z aluminiowego kubka samogonem. On wypił, czymś tam zagryzł, ale... alkohol zamiast dodać mu sił, osłabił go zupełnie. Już nie tylko nie mógł iść, ale i utrzymać

sowieckie zdrady (3)

się na nogach. Ułożono go więc na furmance i tak wyjechał ze wsi, oddając bez powodu w powietrze serię z automatu.

Po tym incydencie znalazł się przy nim „Łupaszka”, który polecił zastępcy „Maksa” - „Akacji”, by zaopiekował się swoim dowódcą. On sam zaś udał się na czoło kolumny jego plutonu. Tak dotarli do Żukojni, gdzie „Łupaszka” polecił, by zwolniono chłopskie furmanki, a rannych zabrano na nosze sporządzone prowizorycznie z drągów, płaszczy i kocy. Zwracając gospodarzom podwoły, pieszo ruszyli dalej, w stronę Niedroszli.

1 lutego na noc zatrzymali się we wsiach Radziusze, Radziusze Łozowe i w kilku domach w Niedroszli. Pluton „Maksa” zatrzymał się w Radziuszach Łozowych, a on osobiście u kowala Jakowickiego, nad rzeką Straczanką. Nazajutrz rano do punktu kontrolnego „Maks” wysłał partyzanta „Lipę”, który pochodził ze wsi Kuliki. Był to bardzo sumienny i nie tyle może odważny, co zdyscyplinowany partyzant. „Lipa” otrzymał polecenie ściągnięcia lekarzy do rannych w bitwie partyzantów.

Zaniepokojony dłuższą nieobecnością „Lipy”, po uzgodnieniu z „Łupaszka”, „Maks” wymaszerował całym plutonem w ślad za nim na punkt kontrolny. Na trasę przemarszu wybrał teren zakryty, którym maszerując wzdłuż rzeki, dotarł z pododdziałem prawie do samej kolonii Płatona Gwozdowa. Przemieszczając się dość głębokim jarem, zamierzał dotrzeć do lasu, gdy nagle powstrzymała go seria z karabinu maszynowego. Najpierw jedna, potem

następne. Pospieszenie wycofał więc ludzi i wrócił do oddziału, meldując o wszystkim komendantowi.

Tak 2 lutego około godziny czternaście rozpoczęła się bitwa pod Radziuszami. „Lipa” - jak okazało się później - do punktu kontrolnego nie dotarł. Zatrzymali go partyzanci sowieccy. Podczas walki w Radziuszach zdołał od nich uciec i wrócił do plutonu.

- Komendancie, tym razem mamy do czynienia z Sowietami. Słyszałem ruskie komendy - podenerwowany „Maks” meldował „Łupaszce”. Komendant zdziwił się: - Powiadasz z Sowietami?

Spodziewali się odsieczy niemieckiej, a tymczasem przyszła sowiecka. Sowietci dowiedziawszy się, że Polacy stoczyli wyczerpujący bój z Niemcami, zarządzili pospieszenie koncentrację sił. Wiedzieli, że „Łupaszka” bitwę wygrał, ale przecież jego oddział był wyczerpany walką, łatwo teraz można go było pokonać i dobić.

Śledząc skrycie przegrupowujących się Polaków, Sowietci - gromadząc swe siły - przemieszczali się za nimi w rejon, gdzie właśnie planowano zatrzymać się na dłuższy postój, by leczyć odniesione rany.

Kiedy „Maks” dochodził wraz z plutonem do zabudowań Miłoszewskiego, gdzie ulokowani byli ranni i gdzie stacjonował „Łupaszka”, od strony lasu i zabudowań pani Lubieńskiej, w kierunku wsi Radziusze, Sowietci otworzyli ogień.

- Komendancie, to nieprawdopodobne - dziwił się „Maks” - oni walą z co najmniej trzystu karabinów maszynowych.

„Łupaszka” słysząc, co się dzieje, wybiegł kilka metrów przed dom i zatrzymał się. Gdy ponownie odwrócił się, jego twarz była pełna przejęcia. W Radziuszach stacjonował już pluton „Kitka”, w liczbie około setki ludzi. Wprawdzie byli to ludzie już otrząskani w walce, ale kanonada sowiecka nie mogła nie zrobić na nich wrażenia.

W pobliżu Radziuszy zapaliła się stodoła z sianem, oświetlając cały, odkryty, przyprószony śniegiem teren, który lekkim stokiem schodził od zabudowań Lubieńskiej, aż do rzeki Straczanki.

- „Maks”, zajmij się natychmiast przeprawą rannych - niespodziewanie rozkazał komendant. Dom Miłoszewskich stał nad samą rzeką. Rymsha piorunem wyznaczył kilku żołnierzy do przenoszenia rannych z domu do łodzi i podbiegł do gospodarza.

- Gdzie syn, Zdzisław? - zapytał.

- Przecież jest z wami - zdziwił się stary Miłoszewski.

- Dawajcie mi szybko „Sapera” - zwrócił się do żołnierzy. - Janek, zbieraj ludzi, wyruszamy na pomoc „Kitkowi” - rozkazał swojemu zastępcy „Akacji”.

Gdy do „Maksa” zameldował się starszy syn Miłoszewskiego, on polecił mu zajmując się obsługą łodzi.

Znając doskonale teren, „Maks” poprowadził ludzi do głębokiego jaru, dnem którego przepływał maleńki strumyczek.

Kanonada trwała. Z oświetlonego pożarem wzgórza, w kierunku odpowiadającego charakterystycznym gdakaniem - zdobytego na Niemcach - cekaemu „Kitka”, ruszyła sowiecka piechota. Być może kła-



dące się na śniegu cienie podwajały grozę i zwiększały wizualnie liczbę atakujących, ale nawet uwzględniając to, miało się wrażenie, że jest ich kilka tysięcy.

- Jezusie Nazareński, skąd tutaj wzięło się tyłu Sowietów?! - zastanawiał się „Akacja”. - Przecież oni nas... zadepczą.

- Ciiicho... - „Maks” uspokoił Janka. - Wydaje mi się, że oni zlokalizowali tylko „Kitka”.

Kiedy „Maks” zajmował stanowisko ogniowe w wąwozie, podszedł do niego „Bohun”.

- „Maks”, bierz moich ludzi na swoją komendę. „Maks”, ja nie mogę. - Jego głos drżał. Z trudem wydobywał go z krtani.

- „Bohun”, chłopie, co ci jest?! - Rymsza był zaskoczony.

- Po prostu wysiadło mi serce. Ze strachu - oświadczył „Bohun”.

„Maks” doskonale wiedział, że w walce strach jest złym doradcą. Przygotowując się do odparcia ataku Sowietów, przywołał szybko plutonowego „Olszynec” i powierzył mu komendę nad plutonem „Bohuna”.

Splywając ze wzgórza ludzka lawina z ogromnym wrzaskiem nieustającego „Urra!”, kierowała się prosto na Radziusze, gdzie bronili się ludzie „Kitka”.

Urraaa! Urra! Ra..! - powtarzało odbite echo od ściany lasu. - Za rodzinu! Za Stalina! ... Urraaa!.. - dudniły ledwo zrozumiałe, zagłuszane hukami karabinowych wystrzałów słowa.

U podnóża wzgórza, w tej regularnej ludzkiej masie, kotłowało się. Tam, celnym ogniem, sięgał cekaem „Kitka”. Słychać by-

ło wyraźnie, jak jego gdakanie nasilało się. Sowiecki atak zwolnił tempo, ale nie zatrzymał się. Idący z przodu Sowietci wiedzieli, że wycofanie się jest niemożliwe. W razie, gdyby próbowali zawrócić, z tyłu też na nich czekała śmierć od swoich, od żołnierzy zagrądatelnio atrata; plutonu zaporo-

- Teraz my! - zdecydował „Maks”,  
oceniając sytuację za stosowną do ataku.  
Jego ludzie byli już na wyznaczonych po-  
zycjach.

- Otworzyć ogień! - wydał rozkaz dowódcy drużyn.

Cały ogień skierowano na skrzydło sowieckiego ataku. „Maks” przeczuwał, że lada moment „Kitkowi” może braknąć amunicji i spodziewał się, że kiedy przejmie inicjatywę, „Kitek” będzie mógł się wycofać.

Oddział „Maksa” był doskonale osłonięty. Pod żadnym pozorem nie zamierzał wychodzić z jaru, by w otwartym polu stawiać czoła całym setkom atakujących ich Sowietów.

Kanonada trwała bez przerwy. Sowietci strzelali na oślep, na wprost. Głosy komend zlewały się. „Maks” cały czas dbał tylko o to, by nie marnować amunicji, by ich ogień był celny.

- Bez paniki chłopcy, bez nerwów!  
- uspokajał żołnierzy. - Strzelać tylko do  
pierwszych szeregów! Strzelać celnie!

Ogień płonącej stodoły powoli wygasał. „Kitek”, jak przewidywał „Maks”, wycofał się i lasem dotarł do rzeki. Pół godziny później, na przedłużeniu jaru, wsparł ogniem prawe jego skrzydło. Gdy „Kitkowi”

zaczęła się kończyć amunicja, jako pierwszy przeprowadził oddział - zaraz za rannymi na prawy brzeg Straczanki. Sam walczył do końca, do ostatniego naboju w cekaemie, cudem uchodząc z życiem. Gdy napierający Sowieci otoczyli dom, a on nie miał już czym się bronić, porzucił cekaem i wyskoczył przez okno w ciemności, torując sobie drogę bagnetem.

Po dotarciu do pozycji, z których wycofali się partyzanci „Kitka”, sowieckie oddziały ruszyły w kierunku, na jar. Przewidując to, „Maks” pozwolił im podejść na odległość pięćdziesięciu - sześćdziesięciu metrów i na szerokim froncie otworzył ogień z dwudziestu erkaemów, licząc te, które „Olszyna” przejął od „Bohuna”.

Z czasem ogień naszych karabinów powstrzymał natarcie Sowietów, którzy najwyraźniej zaczęli się wycofywać. Płomień dopalającej się stodoły wygasł, wokół zapanowały ciemności.

Zorientowawszy się, że Sowieci zrobili przerwę - najprawdopodobniej w celu przegrupowania - „Maks” natychmiast zaczął wycofywać plutony w kierunku rzeki Straczkanki, przyspieszając ich przeprawę. Sam, zachowując ciszę, z grupą ludzi jedynie w sile wzmocnionej drużyny, trwał na ubezpieczeniu. Chwilę potem na skrzydle, gdzie do niedawna bronił się „Kitek”, ponownie rozgorzała walka. „Maks” zaskoczony odgłosami dochodzącej ich kanonady pomyślał, że nic tylko przyszedł im z pomocą jakiś polski oddział. Chcąc się upewnić, czy jego domysły są słuszne, wysłał tam gońca. Po kilkunastu minutach goniec powrócił.

- Dowódcu, albo ja głupi, albo im się popieprzyło! Zewsząd słysząc tylko ruskie komendy. Tam nie ma żadnych Polaków...

Walka toczyła się na skraju lasu.

- To niemożliwe, żeby Sowietci bili się między sobą...?

„Maks” zwrócił się do „Akacji”: - Janek, wyślij jeszcze raz kogoś, niech sprawdzi, czy czasami nie odłączył się od przeprawy jakiś nasz pluton.

W tym samym czasie przybył goniec od „Łupaszki”.

- „Maks”, komendant rozkazał, żeby pan wycofał ludzi do przeprawy i sprawdził, czy nikt nie został na polu bitwy.

Grupkami opuścili śpiesznie jar i zbliżyli się do rzeki. „Maks” czekał z „Akacją” aż wróci goniec. Jak okazało się, wszystkie polskie pododdziały były na miejscu.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, „Maks” przeprowadził ludzi, pozostając na koniec z dwoma lekkimi karabinami maszynowymi. W odległości około kilometra od przeprawy wciąż jeszcze trwała walka, w której nikt z V Brygady już nie uczestniczył.

Kiedy ludzie „Maksa” przepławili się przez rzekę, na brzegu leżało jeszcze kilku rannych. Były to jednak ofiary poprzedniej walki z Niemcami. Któryś z żołnierzy poin-



Fot. Archiwum

formował go, że Sowietom udało się ranić jednego partyzanta, a jeden utonął podczas przeprawy\*/.

Po przeprawieniu się przez rzekę i zabraniu rannych, partyzanci przemieścili się kilkanaście kilometrów dalej, do najbliższej wsi Borejszicha.

We wsi oddziały uporządkowano, a rannych zabrano na furmanki. Z Borejszichy część brygady odmaszerowała poza trakt Stefana Batorego, do wsi Biała Woda. Część jednak pozostała tam na noc.

Po tak trudnym dniu zwycięzcy spalili w zagrodach na słomie. Wielu partyzantów, dziękując Bogu za ocalone życie, przystąpiło do spowiedzi. - W pierwszym mieszkaniu, do którego „Maks” wszedł po dotarciu do wsi, spotkał księdza „Ignacego” i cały szereg partyzantów cisnących się do niego, by się wyświadczyć. To było u Sprudzinów, jego sanitariuszka „Aldona” tam potem na krótko ulokowała rannych.

Zarówno we wsi Borejszicha, jak i w pobliskim folwarku Świranki ludność była im bardzo przychylna. Gospodynie przez całą noc piekły pączki, przygotowywały posiłki dla partyzantów. Dla rannych oddawano koce, prześcieradła, a nawet kołdry.

Komendant też pozostał we wsi na noc. Rankiem wezwał do siebie „Maksa” i polecił mu udać się do Niedroszli, by ustalić wyniki nocnej walki. Rymśa wziął ze sobą „Akację”, „Aldonę” i dziesięciu żołnierzy, wśród których byli Mikołaj Radzisz i Ireneusz Pakulski.

Po dotarciu do rzeki, Miłoszewski przeprowił ich na drugi brzeg, zjedli u niego śniadanie i udali się w teren, na którym rozegrała się walka. Z tego, co się dowiedzieli, ich przeciwnik wyniósł się zaraz po walce wczesnym rankiem, zabierając zabitych i rannych.

Potem „Maks” udał się do gajówki Hryncewicz, gdzie - z podobnym jak on zadaniem - przybyli wcześniej Sowietci. Chwilę później, gdy „Maks” udał się za potrzebą do sławojki, zaczął się na niego Rosjanin, którego pokonał w bezpośredniej walce. Rosjanin miał przy sobie mapnik, a w nim ustalenia, z których wynikało, że straty Sowietów wyniosły ponad 330 zabitych. Liczby rannych nie podawano.

Później „Maks” dowiedział się od Miłoszewskiego, że Sowietci tłumaczyli się, iż poszli do ataku na rakietę wystrzeloną przez Polaków. Prawdopodobnie „Łupaszka” w ten sposób dał znać swoim, żeby się wycofali. Przypadek, czy próba usprawiedliwienia totalnej pomyłki? Trudno powiedzieć.

**Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz**

*\*/ Po pierwszej publikacji tych wspomnień, partyzant, który rzekomo utopił się w Straczance, ujawnił się. Napisał do mnie list (do autora), że mieszka na stałe w Niemczech, i przyznaje ze wstydem, iż wówczas po prostu stchórzył i uciekł z oddziału.*

# Ciepłe brzmie

*W latach siedemdziesiątych wraz ze swoimi węgierskimi przyjaciółmi przyjeżdżałem do polskiej stolicy, by rozkoszować się wspaniałymi popisami światowej sławy jazzmanów*



**P**odobnie jak w roku ubiegłym, tegoroczna „edycja” Dni Kultury Węgierskiej w Słupsku i powiecie słupskim nie mogła obejść się bez rocka znad Dunaju. Stanowi on część składową szeroko pojętej muzyki, a bez niej przecież nie istnieje kultura. O sile rocka świadczy fakt, że w ciągu zaledwie jednej dekady ze zwalczanej przez system subkultury powstało coś, co w krajach należących do zdominowanego przez Moskwę bloku sowieckiego, określiło świadomość całego pokolenia dzisiejszych 50- i 60-latków. Pierwszy koncert zespołu Rolling Stones w obozie zwanym socjalistycznym odbył się w 1967 roku w świątyni komunistycznej ideologii - Pałacu Kultury i Nauki (PKiN) w Warszawie. Choć kolejne zjazdy Polskiej Zjedno-

czonej Partii Robotniczej (PZPR) odbywały się właśnie w tym Pałacu, dla mnie, a także dla wielu moich polskich rówieśników, PKiN przekształcił się w katedrę rocka i jazzu. W latach siedemdziesiątych wraz ze swoimi węgierskimi przyjaciółmi przyjeżdżałem do polskiej stolicy, by rozkoszować się wspaniałymi popisami światowej sławy jazzmanów, którzy występowali w Sali Kongresowej podczas jesiennych Jazz Jamboree.

Węgierska muzyka rockowa w stosunkowo krótkim czasie przeszła niebywałą drogę i w latach siedemdziesiątych osiągnęła swój wiek dojrzały. Porywające kompozycje Omegi czy Locomotiv GT, dojrzały jazz-rock zespołu Sirius, czy rock progresywny w wykonaniu Non-

# enie muzyki rockowej

stop, Skorpion oraz Mini stanowią najlepszy okres ponadczasowego, nieuznającego geograficznych bądź ideologicznych granic, rocka. O ile w 2010 roku, podczas spotkań z młodymi słuchaczami przybliżyłem temat narodzin i początkowego okresu węgierskiego rocka, tym razem poprzez organy Hammonda, starałem się przekonać młodzież do tego gatunku muzycznego, wręczając im żywy, a raczej głośny bukiet utworów rocka progresywnego, pochodzącego również z mojej ojczyzny.

Organy Hammonda zostały skonstruowane w latach trzydziestych ubiegłego stulecia przez amerykańskiego zegarmistrza, Laurensa Hammonda. Miały być one alternatywą dla organów piszczałkowych w kościołach. Ale ku zdumieniu samego twórcy, mimo wielu protestów, w latach sześćdziesiątych organy zaczęto wykorzystywać w muzyce jazzowej i rockowej. Jednym z pierwszych utworów był rytm and bluesowy - instrumentalny kawałek napisany w 1962 roku przez Bookera T. Jones pt. „Green Onions”. A jak brzmią w wydaniu hardrockowym, przedstawiłem na przykładzie ponadczasowego, genialnego utworu „Lazy” zespołu Deep Purple, pochodzącego z 1972 roku. Podczas jednej z prezentacji, gdy zabrzmiały pierwsze tony utworu, kilku chłopców poderwało się ze swoich krzeseł i zaczęło tańczyć. Poculi, poddali się duszy rocka.

Obok Jona Lorda (Deep Purple) przede wszystkim Keith Emerson (The Nice, Emerson, Lake & Palmer) należy do tych muzyków, dzięki którym organy

wałym talentem. Na chwilę „przeskoczę” do innego wieku. Sto trzydzieści lat temu Modest Musorgski skomponował na fortepian cykl miniatur fortepianowych



Hammonda stały się znane i powszechnie używane. Ten najlepszy klawiszowiec na świecie, muzyk samouk, używający niesamowitej techniki, obdarzony jest nieby-

„Obrazki z wystawy”, zaś kilkadziesiąt lat później Maurice Ravel przełożył ten utwór na orkiestrę symfoniczną. Keith Emerson, wraz ze swoją grupą, aranżując go w 1972 roku w konwencji rocka progresywnego, stworzył jedną z najważniejszych płyt w historii muzyki rockowej.

Inaczej, niż organy Hammonda brzmi melotron, imitujący pojedyncze instrumenty strunowe lub całą orkiestrę symfoniczną. The Moody Blues, jako pierwsi w latach sześćdziesiątych, wykorzystywali w swej twórczości melotron na szeroką skalę. Często rozbrzmiewał on w utworach zespołu Led Zeppelin czy Yes, ale przede wszystkim w instrumentarium King Crimson. Boga- te możliwości brzmieniowe melotyonu formacja ta prezentowała w monumentalnych utworach w okresie 1969 - 1971.

Elektrofony klawiszowe na przełomie lat sześćdzie-



siątych i siedemdziesiątych zrewolucjonizowały rocka. Dzięki ambitnym muzykom-klawiszowcom, jak np. Carlos Santana, Al Kooper, Dave Greenslade, Jan Hammer, Lionel Grigson, pojawiły się we wszystkich gatunkach rocka, a nawet przyczyniły się do powstania nowego podgatunku, jakim był rock symfoniczny. Wśród wybitnych polskich wykonawców grających na tych instrumentach odnajdujemy Czesława Niemena, Andrzeja Zielińskiego, Józefa Skrzeka, Piotra Figiela, Wojtkę Karolaka. W tym miejscu wypada wspomnieć o tym, że monumentalne dzieło Niemena z płyty Enigmatic „Bema pamięci żałobny rapsod”, które przypadkiem usłyszałem podczas mojego pierwszego pobytu w

Polsce w grudniu 1968 roku, a w nim właśnie organy Hammonda, spowodowały, że postanowiłem nauczyć się po polsku. Od tej chwili całe moje życie związałem z Polską.

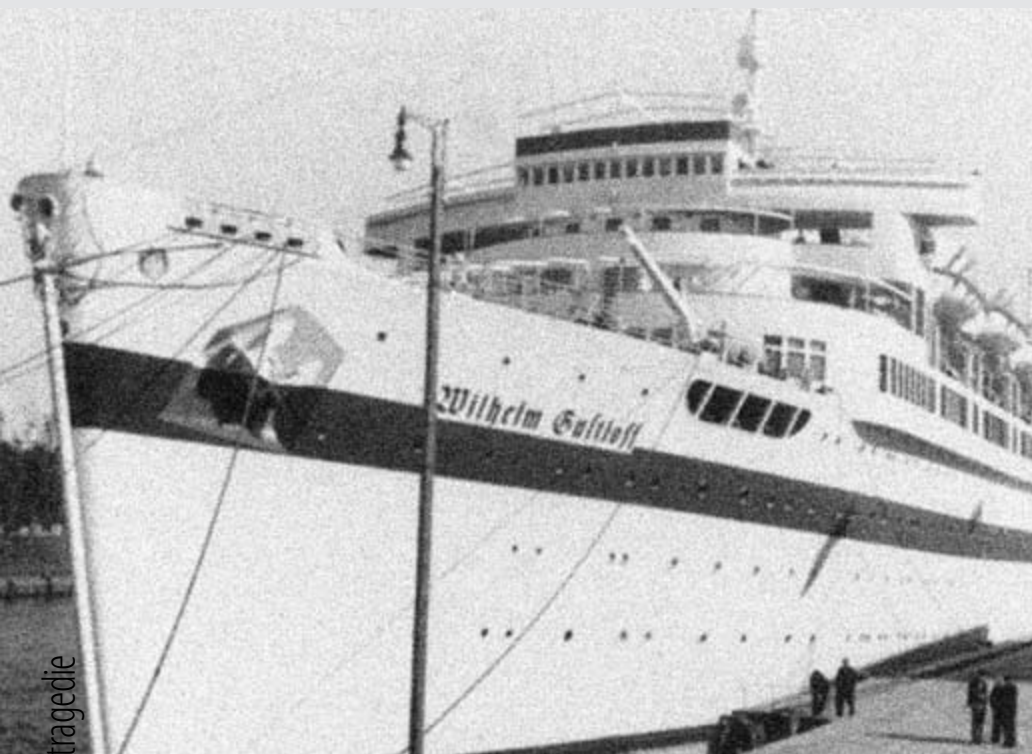
W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na Węgrzech większość popularnych grup rockowych (Beatrice, Edda, Koral, Locomotiv GT, Metro, Mini, Omega, Piramis, P. Mobil, Skorpion, Syrius, Taurus) korzystała z organów Hammonda i innych elektromechanicznych instrumentów klawiszowych. W przeciwieństwie do polskich wykonawców nie odegrały one pierwszoplanowej roli w poszczególnych kompozycjach. Do wyjątków należy grupa Metro i początki jej twórczości, gdy li-

derem zespołu był pianista kompozytor Otto Schöck. Drugim wyjątkiem jest Locomotiv GT, a zwłaszcza ich czwarta płyta z 1975 roku pt. „Mindig magasabbra”. Fantastyczne kompozycje oraz fenomenalna gra na fortepianie Fendera i organach Gabora Pressera wyróżniają tę płytę w dorobku grupy. Przepiękną balladę „Álomarcú Lánya” ze wspomnianej płyty możemy śmiało porównać do najlepszych brytyjskich czy amerykańskich piosenek z tego okresu, np. „Nothing else matters” lub „Stairway to heaven”.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, mimo oporów władzy, jazz-rock na Węgrzech zdobył stosunkowo dużą popularność. Najlepszym zespołem tego

# Grzech pierworodny „Wilhelma Gustloff’a”

*Podzielam zadanie „Nurkowej Polski”, że potrzebna jest ekspozycja poświęcona historii tragedii Wilhelma Gustloff’a. Tylko czy na pewno w muzeum organizowanym przez stowarzyszenie „Przyjaciele Helu” w Helu?*



Słupskiej. Według ostatnich danych na pokładzie były 10582 osoby, z których ocalało 1200 (stan na 31.01.1950) rozbitków, w tym Heinz Schön, członek załogi. To właśnie on przez całe późniejsze życie zbierał, badał, publikował artykuły, relacje wreszcie książki o tragedii zaginionych i ocalałych. Publikacja (271 stron) „Tragedia Gustloff’a” została wydana w Polsce ze słowem wstępnym autora do wydania polskiego w 2006 roku przez Wydawnictwo Replika z Zakrzewa należące do Aleksandra Szablińskiego.

Kraft durch Freude (siła przez radość), nazistowska organizacja zajmująca się organizowaniem masowych imprez turystycznych i sportowych dla obywateli III Rzeszy potrzebowała pasażerskiego statku motorowego. Zamówienie zostało zrealizowane w stoczni Bohma & Voss w Hamburgu za 25 milionów marek. Na wniosek Hitlera nadano mu imię Wilhelma Gustloff’a. Wodowanie i chrzest odbyły się 5 maja 1937 roku. Matką chrzestną była Hedwig Gustloff, wdowa po wiernym przyjacielu Hitlera, członku NSDAP zastrzelonym przez Dawida Frankfurtera, studenta żydowskiego pochodzenia. Dawid podjął decyzję o zastrzeleniu Gustloff’a 30 stycznia 1936 roku w Davos w Szwajcarii. Kierowały nim

Datę 30 stycznia Heinz Schön traktuje jak fatum. W tym dniu urodził się Wilhelm Gustloff (1895), Hitler przejął władzę

(1933), wreszcie to data zatonięcia w 1945 roku „Wilhelma Gustloff’a” na wodach Bałtyku między Ustką i Łebą w okolicy Ławicy

gatunku (do dziś zresztą!) jest Syrius. Założona przez Zsolta Baronitsa w 1968 grupa swój debiutancki album „The Devil's Maquerade” wydała na początku lat siedemdziesiątych w Australii. Płyta jest znakomita, zdecydowanie lepsza od wielu uznanych brytyjskich czy amerykańskich płyt z tego okresu. Dzięki Laszłó Patakiemu, niemal w każdym utworze słyszymy Hammonda. Pasujący doskonale do światowego nurtu jazz-rocka album po dwóch latach z trudnością został wydany na Węgrzech.

Na przestrzeni minionych dekad dokonał się wielki postęp techniczny, który paradoksalnie przyczynił się do upadku muzyki rockowej. Kompozycje pełne za-

dumy i jakiejs niezmienskiej powagi, m.in. zniewalające swym pięknem utwory w wykonaniu Procol Harum, monumentalne dzieła King Crimson, porywający nawet najwybredniejszego słuchacza symfoniczny rock w wydaniu Deep Purple z udziałem londyńskiego Royal Philharmonic Orchestra (mam na myśli wspaniałe „Concerto for Group” and Orchestra z 1969 roku), niestety odeszły w cień. Muzyka oparta na brzmieniu Hammonda czy innych elektrofonach klawiszowych została zdominowana przez elektronikę. Korzystający z syntezatorów wykonawcy nader często, gdzieś po drodze, tracą to co najważniejsze, melodię. W swoich muzycznych poszukiwaniach nawet wiel-

cy artyści czasami zagubili swoje własne brzmienie. W wielu utworach pojawiła się kakofonia. Tym większa była moja radość, kiedy parę tygodni temu w drodze do Budapesztu, w Trójce (mojej ulubionej stacji) usłyszałem utwór z najnowszej płyty Jarosława Śmietany i Wojciecha Karolaka „I Love the Blues”. Płyta jest najlepszym dowodem na to, że mimo głębokich zmian, niekoniecznie przychylnych dla rocka, pozostali na polu walki muzycy wierni swoim ideałom, wrażliwi na piękno, dla których nie instrumenty czy efekciarskie sztuczki, lecz melodia jest najważniejszym.

**András Asztalos**  
**Budapeszt**

pobudki ideowe. Nie mógł dłużej znosić prześladowań przez NSDAP Żydów, w tym osobistych tragedii wyrządzonych przez rosnący w siłę nazizm. Decyzja podjęta, wszystko przygotowane. We wtorek 2 lutego 1936 roku przed godziną dwudziestą poszedł do domu landesgruppenleiters i w jego gabinecie oddał pięć strzałów. Potem zgłosił się na policję i oświadczył: „Nie mogłem postąpić inaczej. Kule powinny właściwie trafić Hitlera”. W ten sposób Wilhelm Gustloff stał się bohaterem narodowym, męczennikiem. Upamiętnienie jego imienia wpisywało się w propagandowy scenariusz Hitlera. Cała załoga Gustloffa od kapitańa do pomocnika kucharza należała do NSDAP.

Dziewiczy rejs rozpoczął się we środę 23 marca 1938 roku. Pasażerów dobierała KdF, DAF (Niemiecki Front Pracy) i NSDAP. Ta zasada obowiązywała we wszystkich rejsach, a po aneksji Austrii i stamtąd zabierano zasłużonych działaczy. W sierpniu 1939 Wilhelm Gustloff odbył ostatni rejs wycieczkowy do Norwegii, skąd został wezwany do Hamburga, gdzie 1 września wcielono go do Kriegsmarine jako okręt pomocniczy mający status statku szpitalnego na Bałtyku i w Norwegii. Tak było do 21 listopada 1940 roku, kiedy przeprowadzono go do Gdyni Oksywiu i po zacięciu pełnił funkcję statku koszarowego 2. Dywizjonu Szkolnego U-Bołów.

21 stycznia 1945 roku wydano rozkaz rozpoczęcia operacji przerzucenia załóg szkolonych z 2. Dywizjonu Szkolnego Okrętów Podwodnych. Wyszkolone nowe załogi były na wagę złota, admirał Karl Donitz planował na początku marca 1945 nową ofensywę łodziami podwodnymi najnowszego typu 21., miał nadzieję odwrócić losy wojny. Tymczasem wobec zdecydowanej i okrutnej ofensywy Armii Czerwonej w Prusach Wschodnich wśród ludności cywilnej wybuchła panika. Opowieści o masakrze w Nemmersdorf (21 października 1944 roku) sprawiły, że porzucano masowo domy. Ramy organizacyjne totalnej ucieczki miała nadać opracowana pospiesznie Operacja

Hanibal. Akcję przerzutu załóg szkolnych połączono z ewakuacją uchodźców z Prus Wschodnich drogą morską.



Fot. Archiwum

Zapełniły się porty w Pilawie Gdańsku i Gdyni. Pierwszymi przyjętymi na Gustloffa uciekinierkami były - żona i dwie córki oficera Alfreda Voigta, który jako jeden z pierwszych poznał zasady Operacji Hanibal. W ciągu kilku dni przyjęto na pokład Wilhelma Gustloffa, jakkolwiek dziwnie brzmi to określenie wobec rzeczywistości, 8956 uciekinierów. Takie są ostatnie ustalenia Heinza Schöna na podstawie relacji Waldemara Terresa i Ewy Rotschylt-Dorn. Twierdzą oni, że do późnego bardzo mroź-

nego popołudnia 29 stycznia 1945 roku rejestrowano uciekinierów. Spis zakończono na pozycji 7956, później zabrakło brulionów, ale przyjęto jeszcze około 500 osób. Przybywali na statek jak do arki Noego, a przecież podstatą w owoym celu było ocalenie żołnierzy. Załoga 2. Dywizjonu liczyła 918 osób, ponadto na statku były 373 junaczki, 172 członków załogi i 162 rannych żołnierzy. Każde miejsce na statku łącznie z mostkiem kapitańskim było wypełnione do granic możliwości. Pomieszczono ponad dziesięć i pół tysiąca osób. Zabezpiecze-

nie w środki ratunkowe obejmowało tylko połowę pasażerów. Na dwunastu łodziach ratunkowych były miejsca dla około 700 osób, 18 kutrów mogło zabrać 540 osoby, 380 tratw pomieściłoby 3800 rozbitków, do dyspozycji było 5000 kapoków. Teoretycznie mogło wystarczyć. Zdawano sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Gustloff (25484 BRT) miał wypłynąć razem z Hansą (23130 BRT). Czekano na eskortę. Okazało się, że Hansa ma awarię, a konwój eskortować będą tylko dwa okręty: torpedowiec

gdzie powstanie muzeum?

Löwe i poławiacz torped TF1. Tymczasem nadeszły wiadomości o nalotach i ataku na Półwyspie Helskim. Kapitan Friedrich Petersen w porozumieniu z odpowiedzialnym za „wojskową” część ewakuacji Wilhelmem Zahnem podjął decyzję o wypłynięciu. Wilhelm Gustloff opuścił port w Gdyni o godzinie 12:30, 30 stycznia 1945 roku. Podróż morską wydawała się wybawieniem dla tysięcy uciekinierów, a oficerowie stacjonujący w Gdyni w ostatniej chwili wprowadzali na Gustloff swoje rodziny. Wszystko jednak działo się nie tak, nawet natura sprysnęła się przeciw. Mróz powodując oblodzenia, unieruchomił radiostacje. Przestała działać stacja radiolokacyjna na Löwe, okręt eskortujący okazał się bezużyteczny. Gustloff był bezbronny.

O godzinie 21:16 w statek uderzyły trzy torpedy z rosyjskiego okrętu podwodnego S-13 dowodzonego przez kapitana Aleksandra Marinesko. Zadziały prawa

wojny. Był przekonany, w dużej części nie bez racji, że to statek transportowy z żołnierzami. Jerzy Janczukowicz, który jak nikt inny zna historię Gustloff i kilkadziesiąt razy penetrował wrak, twierdzi, że gdyby załogi U-botów dotarły do portów przeznaczenia, wojna trwałaby o kilka miesięcy dłużej.

Sygnaly SOS dotarły do dowództwa w Gdyni, ale zarządzono zatrzymanie wiadomości w tajemnicy ze względów bezpieczeństwa. Tymczasem w miejscu katastrofy działy się dantejskie sceny. Ci, którzy przeżyli bezpośredni atak i którym nie udało się dotrzeć do łodzi ratunkowych skakali wprost do wody lub po prostu spadali. Nie wszyscy wiedzieli jak założyć kapoki, dlatego spadali głową pod wodę. Dochodziło do użycia broni, zabójstw i samobójstw. O godzinie 22:18 Gustloff wyrócił się. Utonęły niektóre kutry wypełnione rozbitkami. Akcja ratownicza w ciemnościach, przy siarczystym mrozie, obawach ponownego

ataku przyniosła mizerne rezultaty. Dramat rozbitków trwał siedem godzin. Wielu zmarło w lodowatej wodzie. Odnalezione ofiary chowano potajemnie w zbiorowych mogiłach. Katastrofę przeżyły 1252 osoby. (Ostatnie ustalenia.)

Szwedzka agencja prasowa opublikowała dziesięciowersowy artykuł. Na terenie Niemiec nie podano oficjalnej wiadomości o katastrofie. Jednak po dwudziestu czterech godzinach we wszystkich portach o niczym innym nie mówiono. W 1945 roku na dno poszły także okręty Stauben i Goya, wypełnione uciekinierami.

Po latach Wilhelm Gustloff budzi emocje nie ze względu na rozmiar tragedii, u której przyczyny znalazły się obłędne nazistowskie idee znajdujące wielu wyznawców, ale jako atrakcja turystyczna, miejsce „męskiej przygody”. Pamiątki z wraku Gustloff traktowane są jak wyjątkowe trofea, mimo że w roku 1994 Polska przychyliła się

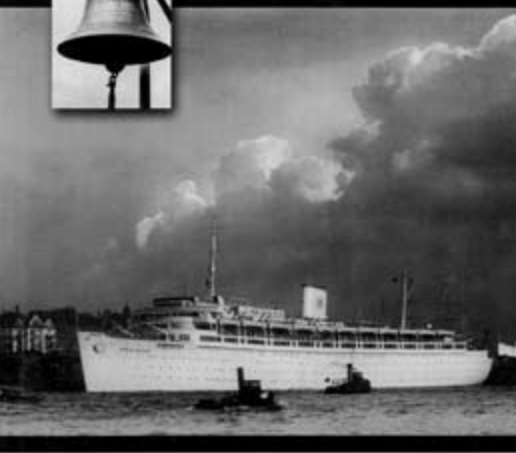
Fot. Archiwum

# Dzielna Queen Mary

*Marshall, chcąc naocznie przekonać się, jakie problemy może przynieść ze sobą przewóz dziesięciu tysięcy ludzi za jednym zamachem - postanowił wybrać się na Queen Mary z wizytą*



# Tragedia Gustloff



**R**MS Queen Mary rzetelnie służyła Marsowi przez ponad sześć lat. W toku wojny, jako transportowiec wojсковy, przewiozła ponad osiemset tysięcy ludzi w mundurach, przebyła z górą sześćset tysięcy mil morskich i uczestniczyła we wszystkich wielkich operacjach desantowych II Wojny Światowej w Europie i Afryce.

Służyła za pływającą „kwaterę główną” premierowi Winstonowi Churchillowi, przewoziła żołnierzy z USA, Kanady i Australii, a także niemieckich i włoskich jeńców wojennych. Służyła za pływający szpital, a także za... żłobek i przedszkole, a wszystko to bez jednej chwili poważnego zagrożenia ze strony nieprzyjaciela! Działa Królowej - a Jej Wysokość miała ich niemało! - nigdy nie musiały „zabrać głosu” na poważnie. Oto opowieść o jednym tylko roku trudnej i zaszczytnej służby wojennej legendarnego statku.

Zaskakujący atak Japończyków na Pearl Harbor i praktyczne obezwładnienie amerykańskiej Floty Pacyfiku wymusiły na Brytyjczykach drastyczne zmiany w ich dotychczasowej strategii wojennej.

do prośby Niemiec, uznając spoczywający w polskiej morskiej strefie ekonomicznej wrak Gustloff za grobowiec wojenny. Wydaje się, że legenda bursztynowej komnaty działa na wyobraźnię, mimo że jest tylko legendą. Natomiast historia zamknięta we wraku jest ważnym memento. Dlatego podzielam zadanie „Nurkowej Polski”, że potrzebna jest ekspozycja poświęcona historii tragedii Wilhelma Gustloff. Tylko czy na pewno w muzeum organizowanym przez stowarzyszenie „Przyjaciele Helu” w Helu? GKP Rekin, którego członkiem jest Jerzy Janczukowicz, proponuje Oliwę. Inni uważają, że Łeba lub Ustka byłyby naturalnym, wskazanym przez historię miejscem. Internetowa dyskusja trwa. Tymczasem GKP Rekin na swojej stronie internetowej zamieszcza wyjaśnienie: „Płetwonurkowie chcą i będą nurkować na wrakach i to na takich jak W. Gustloff z powodów najrozmaitszych, ale ci prawdziwi z powodu jakiegoś

bliżej nieokreślonego magnetyzmu takich miejsc”. Nie wiem, czy tak powinno być.

**Czesława Długoszek, Objazda**

PS. W quasi dokumentalnej książce Ulricha Dorowa „Zapomniana przeszłość” wydanej w 2010 roku przez Wydawnictwo Jasne z Pruszcza Gdańskiego (niemieckie wydanie 1994), a więc już po wydaniu książki Heinza Schöna „Tragedia Gustloff” (niemieckie wydanie 1984, polska edycja 2006) czytam taki zapis: „Było to koszmarnie przeżycie również dla mieszkańców tego miasteczka (Łeby). 30 stycznia 1945 roku po trafieniu torpedą z radzieckiego okrętu podwodnego zatonął niedaleko Łeby statek Wilhelm Gustloff o wielkości 25484 BRT - utonęło ponad 9 tys. pasażerów. (...) Obiekty ataków wroga miały wyraźne oznakowanie: czerwony krzyż (...)”. Nie znalazłam takiej informacji w książce Schöna. Książka Dorowa nie została opatrzona polskim komentarzem.

Dotąd bowiem brytyjskie statki pływały po Pacyfiku względnie bezpiecznie, a jedynym dla nich zagrożeniem mógł być jakiś U-boot lub nawodny rajder niemiecki o wyjątkowo dalekim zasięgu. Teraz, po przystąpieniu Japonii do wojny po stronie wroga, sytuacja się zmieniła. Niemal natychmiast bowiem nad koloniami brytyjskimi w rejonie Oceanu Spokojnego, a przede wszystkim nad Singapurem - zawisło wielkie niebezpieczeństwo. Zagrożona była też Australia, której siły zbrojne zostały osłabione ewakuacją licznych oddziałów na inne teatry wojny.

Wkrótce po ataku na Pearl Harbor Queen Mary, znana jako „Szare Widmo”, została przekazana pod rozkaz amerykańskie, choć dowództwo i oficerowie statku pozostali po dawnemu brytyjscy. Kto inny decydował teraz o trasach kolejnych wojennych rejsów potężnego transportowca. Przedtem jednak Królowa trafiła do Stoczni Marynarki Wojennej w Bostonie, gdzie poddano ją znacznej przebudowie. Odtąd mogła przyjąć na pokłady aż osiem tysięcy dwieście ludzi; piętrowe koje poustawiano wszędzie - w salonach, i nawet w osuszonych basenach kąpielowych.

Wzmocniono też uzbrojenie statku. Zainstalowano pięć podwójnych działek przeciwlotniczych czterdziestomilimetrowych po dwa na dziobie i na rufie i jedno powyżej mostka i sterowni. Na górnych pokładach ustawiono dwadzieścia cztery działka dwudziestomilimetrowe. Całości dopełniło sześć dział trzycalowych. Ponadto koło ostatniego z trzech kominów Królowej ustawiono cztery zestawy wyrzutni specjalnych rakiet przeciwlotniczych, o których jeden z członków jej ówczesnej załogi wspominał później, że „miały one po dwadzieścia rakiet odpalanych elektrycznie, a kąat podniesienia można było ustawić w zależności od sytuacji”.

Tak zmodernizowana i dobrobrojna Queen Mary przyjęła na pokłady 8398 żołnierzy i 18 lutego 1942 roku opuściła Boston, biorąc kurs na północny wschód. Kiedy tylko ostatnie skrawki lądu znikły za horyzontem - zarządzono ostry zwrot na południe i Królowa ruszyła pełną mocą w stronę Trynidadu. Portem przeznaczenia było tym razem znów Sydney, gdzie z utęsknieniem czekano na „pasażerów” statku (artylerzystów) i ładunek (zapasy amunicji).

Kiedy Queen Mary zbliżała się do Trynidadu - zaobserwowano rosnącą w tym rejonie aktywność niemieckich „stalowych rekinów”, wobec czego trasę rejsu Królowej zmieniono, kierując cenny statek do Key West na Florydzie. Tam uzupełniono zapasy, w tym paliwo. Zmieniło się też kierownictwo statku: kapitana Johna Townleya, który osiągnął ustawowy wiek emerytalny, zastąpił kapitan James Bisset. Pod nowym dowództwem Queen Mary ruszyła w pełen zwrotów rejs przez Morze Karaibskie, opuszczając je przez wąski przesmyk Anegada i wychodząc na otwarty Ocean. W pół godziny później radiotelegrafista Królowej odebrał wezwanie pomocy od statku, storpedowanego ledwie o dziesięć mil za rufą olbrzyma. Brakowało niewiele...

Wojna dała się odczuć nawet w brazylijskim Rio de Janeiro. Podczas postoju w tym porcie, gdzie Queen Mary po raz kolejny uzupełniała zapasy i paliwo, tajni agenci na usługach „Osi” zdolali, przez ukrytą wśród wzgórz wokół miasta radiostację, podać swoim mocomodawcom czas wyjścia w morze i kurs statku. Na szczęście niemal natychmiast zostali złapani, a ostrzeżony kapitan Bisset zarządził przyspieszenie prac przy tankowaniu paliwa i opuścił port grubo przed czasem.

Upiekło się w ten sposób Królowej, ale torpedą z U-Bootu oberwał za to zbiornikowiec, który miał pecha i wyszedł z portu o czasie planowanego wyjścia „Szarego



Fot. Archiwum

Widma"... Wróg był tak dalece przekonany o zniszczeniu dumnej Queen Mary, że pewna włoska radiostacja podała nawet oficjalną wiadomość o jej „zatopieniu”. Gdy na mostku transportowca pojawił się podniecony radiotelegrafista z dopiero co odebraną „hiobową wieścią” - kapitan Bisset najspokojniej odparł: „Tylko proszę nic nie mówić naszym pasażerom. Lepiej ich nie niepokoić”.

Queen Mary, stale narażona na ataki U-Bootów, nigdzie nie zagrażała miejsca zbyt długo. Podczas pewnego rejsu do Nowego Jorku dostrzeżono z niej na morzu łódź ratunkową z rozbitkami ze statku, storpedowanego przez niemieckie „rekina”. Kapitan Bisset, wiedząc, że podwodny rabin może zaciąć się w pobliżu - nie zastopował, lecz przekazał rozbitkom wiadomość, że zamelduje o nich komu trzeba. Jednym z tych rozbitków był syn naczelnego płatnika na Królowej, który posłał w ślad za ojcem, odpływającym na olbrzymie, soczystą „wiąchę”. Wszystko skończyło się jednak szczęśliwie - następnego dnia rozbitków podjął, zaalarmowany przez Queen, amerykański statek ratowniczy.

W drugiej połowie 1942 roku Królowa pływała po swojej starej trasie przez Atlantyk. W Europie zaczęła się wtedy wielka koncentracja wojsk i oba ogromne lajnery musiały przywieźć wielu żołnierzy z Kanady i USA. Specjalnie w tym celu zamierzano powiększyć „pojemność” obu Królowych do dziesięciu tysięcy ludzi. Amerykański generał G. C. Marshall obawiał się, że w razie storpedowania którejś z „siostrzy” straty w ludziach pójdą w tysiące. Jednak premier Churchill, z którym generał konferował w tej sprawie, odparł, iż jeśli wojna ma ulec w ten sposób skróceniu choćby o jeden dzień - to warto ponieść ryzyko. Wobec tego Marshall, chcąc naocześnie przekonać się, jakie problemy może przynieść ze sobą przewóz dziesięciu tysięcy ludzi za jednym zamachem - postanowił wybrać się na Queen Mary z wizytą.

Na pokładzie statku wspomniany już wcześniej Staff Captain Grattidge wyjaśnił generałowi, że największym z tych problemów może być przepłynięcie nad nowojorskim „Tunelem Hollanda”, biegnącym pod Hudson River, bowiem obładowany do pełna transportowiec może zawadzić stępką o wierzch tego tunelu. W przypadku, gdy przewożeni żołnierze swoim zwyczajem zbiorą się na górnych pokładach po jednej burcie - nastąpi przechył, wzrośnie zanurzenie statku, i dojdzie do nieszczęścia. W tej sytuacji generał Marshall postąpił nietuzinkowo - polecił mianowicie dowódcy przewożonego transportu, aby w chwili, gdy Królowa zbliży się do tunelu, wydał podległym sobie ludziom komendę: „Całość baczność!!!”. Rozkaz wykonano i w ten sposób Queen Mary, pełna wyprężonych jak struny żołnierzy, bezpiecznie przeszła nad tunelem Hollanda.

„Szare Widmo” z premierem Churchill-em na pokładzie, dwukrotnie zawinęło do Halifaxu w Nowej Szkocji, by przyjąć kolejne transporty kanadyjskich żołnierzy, przeznaczone do działań w Europie. Zwykle statek pędził przez ocean bez jakiegokolwiek eskorty, ponieważ większość okrętów po prostu nie nadążała za Królową, a pływanie ze zmniejszoną prędkością było dla wielkiego lajniera kuszeniem losu. Po opuszczeniu Nowego Jorku niszczyciele i samoloty towarzyszyły transportowcowi tylko do określonego punktu; podobnie i po trawersacie oceanu, w określonym miejscu u wybrzeży Szkocji na Królową czekały okręty i samoloty, by doprowadzić ją bezpiecznie do portu.

Nie obyło się niestety bez tragedii - na szczęście jednej - jedynej w ciągu całej wojennej służby statku. Było to w październiku 1942 roku. Na spotkanie Queen Mary, zbliżającej się do wybrzeży Szkocji i wiozącej na pokładach dziesięć tysięcy ludzi w mundurach, wysłała mała flotylla niszczycieli, specjalnie przygotowanych do zwalczania okrętów podwodnych. Flotyllę tę prowadził niewielki brytyjski krążownik przeciwlotniczy HMS Curacoa o wyporności 4290 ton. Taktyka zespołu przewidywała utworzenie przez niszczyciele swego rodzaju „parawanu” wokół transportowca, zaś krążownik, uzbrojony w ciężkie działa przeciwlotnicze - miał pozostawać możliwie najbliżej eskortowanego statku na wypadek, gdyby wróg próbował zaatakować z powietrza.

Nagle, nim ktokolwiek na pokładach obu jednostek zdołał dostrzec nadciągające niebezpieczeństwo, nastąpiło groźne zbliżenie szybko poruszających się kadłubów i wkrótce olbrzymi transportowiec staranował 450-stopowy krążownik w dwóch trzecich jego długości, licząc od dziobu, zagarnął kadłub nieszczęsnego okrętu pod siebie, rozciął go swym ostrym dziobem, jak nóż przecina kostkę masła, po czym przeszedł pomiędzy obu częściami.

Wielu ludzi na Curacoa zginęło natychmiast, zaskoczonych przez strumienie lodowatej wody wdzierające się do kadłuba okrętu. Dwóch marynarzy z Curacoa, uciekając przed śmiercią, wpadło do włazu, prowadzącego do jednego z dwóch kominów okrętu. Uciekając z ginącego krążownika, zsunęli się wraz z innymi członkami jego załogi za burtę.

Na pokładach Królowej zszokowani żołnierze i członkowie załogi transportowca obserwowali gwałtowną śmierć staranowanego krążownika. Kilku z nich przytomnie cisnęło za burtę koła i kamizelki ratunkowe w nadziei, że choć w ten sposób pomogą ginącym kolegom. Obie części okrętu znikły w odmętach w ciągu niecałych pięciu minut.

Tymczasem na mostku Queen Mary kapitan Cyril Illingworth zmagął się z nie lada problemem: zastopować i zwodować

szalupy? Ratować walczących ze śmiercią ludzi, czy płynąć dalej? Na pokładach transportowca było dziesięć tysięcy ludzi w mundurach, których bezpieczeństwo zależało od tej decyzji. Płynęli właśnie przez ulubiony obszar „łowów” niemieckich podwodników. Oczywiście decyzja mogła być tylko jedna: płynąć dalej, ale zawiadomić też kogo trzeba przez radio o tragedii, by statki ratownicze mogły uratować tylu rozbitków z Curacoa, ilu tylko się da.

Tymczasem nie był to bynajmniej koniec trudnych pytań, na jakie musiał odpowiedzieć sobie kapitan Illingworth. Kolejne z nich brzmiało: jak poważnych uszkodzeń doznała jego Królowa w kolizji z Curacoa. Kapitan wiedział, że rozcięcie (bądź co bądź opancerzonych!) burt krążownika nie mogło ująć statkowi tak zupełnie „na sucho”. Na wszelki wypadek Illingworth polecił Staff Captainowi Harry’emu Grattidge’owi przeprowadzić inspekcję uszkodzonego dziobu Queen Mary i zmniejszyć nieco prędkość transportowca.

Na miejscu Grattidge odetchnął z ulgą. W dziobie Królowej ziała co prawda wielka dziura, ale płyty poszycia, wygięte siłą zderzenia, częściowo ją przysłoniły. W potrząskanym dziobie chłupotała woda, ale gródź wodoszczelna pólki co trzymała. Gdyby fale zdruzgotały gródź, to statek prawdopodobnie nie przetrwałby zderzenia. Grattidge natychmiast zarządził wzmocnienie grodzi, po czym statek ruszył pół naprzód w dalszą drogę do Szkocji. Uszkodzony dziób trzeba było prowizorycznie załatać własnymi, pokładowymi siłami z użyciem wielu ton cementu. Uszkodzenia usunięto dopiero w Stoczni Marynarki w Bostonie.

Straty w ludziach na nieszczęsnym krążowniku były ogromne, mimo natychmiastowej akcji ratunkowej ze strony niszczycieli: zginęło aż 338 z ponad czterystu oficerów, podoficerów i marynarzy z jego załogi. Dowódca pechowego okrętu, kmr Boutwood, ocalał!

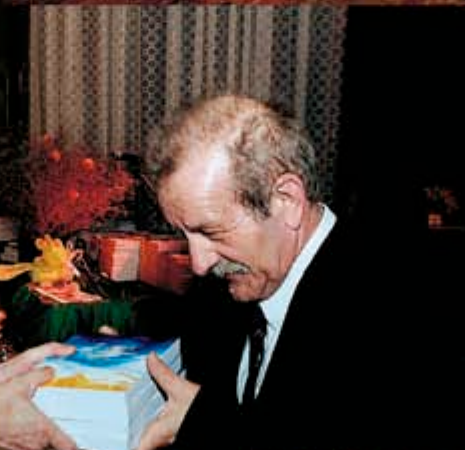
Wyniki przeprowadzonych dochodzeń były sprzeczne. Winą za spowodowanie katastrofy obciążono najpierw w całości dowódcę HMS Curacoa, który powinien był zachować ostrożność i nie zbliżać się zbyt blisko swym okrętem do Queen Mary. Późniejsze dochodzenie podzieliło winę, obciążając nią w jednej trzeciej dowództwo Królowej. Dla Cunarda oznaczało to konieczność wypłacenia po wojnie rodzinom ofiar z krążownika ciężkich pieniędzy tytułem odszkodowań, ale to już inna historia...

Cała ta sprawa stanowiła jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic wojny. Strach było pomyśleć, jakie skutki mogłoby pociągnąć za sobą wykorzystanie tej tragicznej kolizji przez propagandę państw „Osi”, wobec czego aż do końca wojny ściśle utajniono wszystkie jej szczegóły.

**Wojciech M. Wachniewski**  
**Ślupsk**

# X POWIATOWE SPOTKANIE Z POEZJĄ (NIE)PROFESJONALNĄ W DAMNICY

DAMNICA, LISTOPAD 2011



Zdjęcia: J. Maziejuk

